POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 5-go czerwca 1943r.*** | **Rok V. Nr. 22**

IDEOWY PODKŁAD WOJNY

Niemcy rozpoczynając obecną wojnę okazywały całkowite lekceważenie interesów innych narodów i pogardę dla współpracy międzynarodowej. Myślały one i mówiły wyłącznie o swoich własnych celach. Potrzeby innych narodów miały być całkowicie podporządkowane interesom niemieckim. Nie było mowy o jakimkolwiek międzynarodowym porządku rzeczy, a jedynie o zaspokojeniu potrzeb narodu niemieckiego. Przestrzeń życiowa dla " niemieckiego narodu panów " miała być zapewniona siłą w tej wojnie. Pojęcie zjednoczonych narodów i uwzględnienie ich interesów nie znajdowało żadnego wyrazu ani w propagandzie niemieckiej, ani w wystąpieniach przywódców narodu niemieckiego. Pojęcie przewodzenia, a nie współpracy miało być podstawą stosunków międzynarodowych.

Poglądy niemieckie polegały zatem na zupełnym zaprzeczeniu pojęcia moralności międzynarodowej, uwzględnianie interesów innych narodów utożsamiane było ze słabością i degeneracją. Zupełny i bezwzględny egoizm narodowy miał być udziałem zdrowego i silnego narodu niemieckiego.

W ciągu wojny zaszła w tej dziedzinie w Niemczech duża zmiana. Wśród rekwizytów wojny totalnej obok czynników siły i zastraszenia zjawiło się pojęcie — współpracy międzynarodowej. W stosunku do narodów ujarzmionych przez Niemców na terenie kontynentu europejskiego zaczęto używać niespotykanego dawniej określenia aliantów. Zainicjowano spotkania z przywódcami nowych aliantów i zapewniano o chęci bliskiej z nimi współpracy. Jedynie w stosunku do Polaków droga ta była zamknięta. Z powodu niesłychanych krzywd, jakich Polacy doznali, politycznego postawienia sprawy polskiej przez władze okupacyjne, w szczególności w stosunku do granic, oraz bezwzględnego oporu społeczeństwa polskiego, kierunek polityki niemieckiej stał się prawie nieodwracalny.

Ostatnio zjawiły się zapowiedzi ogłoszenia przez Niemców nowego planu politycznego ustroju Europy. Pod Europą rozumiano tym razem już nie tylko teren przeznaczony dla ekspansji niemieckiej, ale wspólność interesów zamieszkujących ją narodów. Wysunięto pojęcie jedności i wspólnoty międzynarodowej całego kontynentu europejskiego. Można być różnego zdania, czy polityka ta obliczona jest na dłuższą metę, czy też jest ona tylko wyrazem taktyki czasowej, wynikającej z wyczerpania sił niemieckich na froncie wojennym. Być może, że polityka ta jest jedynie przejawem obłudy, ale wszak obłuda nie jest niczym innym jak hołdem złożonym prawdzie i cnocie przez występek i kłamstwo.

Zmiana metody niemieckiej jest w każdym razie uznaniem, że polityka oparta jedynie na sile i gwałcie, nieuwzględniająca zupełnie dążności innych słabszych narodów, była błędna i niemożliwa do utrzymania na stałe. Okazało się, że oparcie się jedynie na sile i przemocy i bezwzględny egoizm narodowy na stałe były niekoniecznie najlepszą bronią, nawet z zupełnie egoistycznego niemieckiego punktu widzenia. Gdyby Niemcy od samego początku poza siłą fizyczną, wniosły były do swego wysiłku wojennego również jakąś pozytywną ideę ustroju międzynarodowego, byłyby może w stanie przeciągnąć na swoją stronę ujarzmione narody europejskie i byłyby osłabiły w ten sposób polityczne położenie aliantów. Jednak e za późno już było tworzyć nowy front wspólnoty europejskiej ze względu na fakty dokonane, których nie można już cofnąć i odrobić.

W przeciwieństwie do polityki niemieckiej, Alianci stanęli od samego początku działań wojennych na stanowisku współpracy międzynarodowej. Jako główny cel wojny wielkie demokracje wysunęły nie zdobycze i rozszerzenie terytoriów, ale utrwalenie pokoju powszechnego i dobro wszystkich narodów, zarówno wielkich i silnych, jak mniejszych i słabych. Zasadę tę podkreślano stale zarówno w przemówieniach brytyjskich jak amerykańskich mężów stanu, w mowach Churchill'a i Bevin'a Roosevelt'a i Wallace'a. Wojna ta — mówiono — jest nie tylko wojną narodów, ale walką idei i światopoglądów. " Karta Atlantycka " oparta jest na zasadzie idealizmu międzynarodowego.

Okazało się jednak, że nawet w tak ważnej sprawie i w tak przełomowym okresie trudno jest osiągnąć całkowitą zgodność poglądów. W obozie Aliantów istnieje różnica poglądów na cele wojny i na charakter przyszłego ustroju politycznego świata i Europy. Przeciwstawiając ideologię Zjednoczonych Narodów ideologii niemieckiej, trudno jest z drugiej strony zaprzeczyć, że poglądy obu stron niekiedy wzajemnie na siebie wpływały i wzajemnie się krzyżowały.

Z jednej strony poglądy demokracji na formy współżycia międzynarodowego Narodów Zjednoczonych wywarły pewien wpływ na postępowanie Niemiec. Z drugiej strony trudno jest twierdzić, że idee niemieckie pozostały bez wszelkiego wpływu na ideologię aliancką. Zdarza się, że publicyści Zjednoczonych Narodów akceptują bezwiednie poglądy szerzone przez propagandę i politykę niemiecką. Uzasadnia się podobne stanowisko tak zwanym realizmem politycznym.

Pojęcie o konieczności tworzenia wielkich obszarów kosztem mniejszych narodów dla rzekomego lepszego zabezpieczenia pokoju jest niczym innym, jak doktryną niemieckiego imperializmu totalnego i dążenia do przestrzeni życiowej. Poświęcenie interesów mniejszych państw potrzebom wielkich narodów, nie ma nic wspólnego ani z pojęciem Zjednoczonych Narodów, ani z " Kartą Atlantycką."

Wodzostwo, *Führenschaft* czy *Leadership*, wielkich państw narzucone mniejszym narodom nie jest zgodne z demokracją. Dzisiejsza epoka nie mogłaby się pogodzić z pojęciem narodów-wasalów. Odrzucanie czy przeinaczanie postulatu samostanowienia narodów jest próbą cofnięcia demokratycznego rozwoju narodów do epoki Świętego Przymierza. Pomysł ustalenia granicy wpływów rosyjskich nad Odrą różni się tylko geograficznie, lecz nie ideowo od chęci oparcia niemieckiej przestrzeni życiowej na Wiśle czy Dnieprze.

Można mieć duże wątpliwości, czy zwolennicy podobnych poglądów są najlepszymi obrońcami choćby najbardziej realistycznych i egoistycznych interesów swoich narodów. Mieć własne cele wojenne i mocno przy nich obstawać jest narzędziem prowadzenia wojny. Przyjmowanie poglądu wroga może osłabić własny wysiłek wojenny.

Było by nieszczęściem—nie tylko dla interesów państw małych, ale i wielkich — gdyby Narody Zjednoczone wygrywając militarnie, przegrały ideowo, gdyby zwycięskie czołgi alianckie miały torować drogę zbliżonym do niemieckich poglądom na formy współżycia międzynarodowego.

Dlatego należy przywiązywać wagę do wynurzeń na temat przyszłego współżycia międzynarodowego tych mężów stanu, polityków i publicystów, którzy podnoszą głos w obronie charakteru ideowego strony alianckiej w wojnie obecnej, którzy przestrzegają, aby nie zatracić ideowego podkładu wojny, pomagając w ten sposób Hitlerowi.

Nie będę na tym miejscu przypominać przemówień wielkich brytyjskich i amerykańskich mężów stanu, Churchill'a, Roosevelt'a i Wallace'a, bo wszyscy je pamiętają. Natomiast chciałbym zwrócić uwagę na niedawno ogłoszone poglądy wybitnego publicysty amerykańskiego Herberta Agar'a. Jego książka opublikowana kilka tygodni temu jednocześnie w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, p.t. "*A time for greatness*" spotkała się zdaniem moim, ze zbyt małym zrozumieniem i uznaniem ze strony prasy i emigracji polskiej. Stanowi ona głęboką obronę ideowego charakteru tej wojny.

"*Barbarism is the eternal enemy*" — mówi Agar. Wszystkie narody mają jego zdaniem w sobie jednocześnie dwie dusze: ducha cywilizacji i ducha barbarzyństwa, ale wśród nich jedynie naród niemiecki głosił od wielu pokoleń, że duch barbarzyństwa nie niszczy, ale odradza, a cywilizacja jest jedynie formą schyłkowości. Jeżeli Hitlerowi uda się zwalczyć cywilizację i demokrację, zdobędzie on też wszystko inne.

Nie walczymy — mówi dalej Agar, cytując prof. Fox'a — o pieniądze, nie walczymy o rynki, nie walczymy o wyższy standard życiowy, walczymy o idee. W okresie obecnego największego kryzysu historycznego każdy naród wybrać musi jedną z dwóch dróg, robić to, co jest koniecznością dla niego, albo nie robić nic — zaś konieczne jest to, co ratuje ducha narodu." " Nie możemy uciec od historii " — powtarza Agar za Abrahamem Lincoln'em.

Wobec podobnych zapatrywań H. Agar wysoko musi cenić i podnosić rolę Polski w tej wojnie. Było koniecznością — mówi on — żeby Polska walczyła, żeby Jugosławia walczyła i została fizycznie zamordowana. Mogłyby one z łatwością zawrzeć pokój i żyć dalej, ale w tym wypadku umarłyby naprawdę. Obecnie zaś są żywe duchem. Są wiecznym długiem na sumieniu ludzkości. O ile nasz świat ma w ogóle przyszłość przed sobą i one mają w nim przyszłość.

Widzimy zatem, że ideowy charakter sprawy polskiej znajduje uznanie i zrozumienie w sercach i umysłach ludzkich. Nie każdy potrafi wyrazić te myśli tak pięknie i dobitnie jak Agar, ale tkwią one, choćby podświadomie, w duszach i umysłach ludzkich.

Zasada wygłoszona w jednym z ustępów książki Agar'a: "*A real politic is applied ethics*" /prawdziwie realna " Realpolitik" polega na zastosowaniu etyki/ — jest być może zbyt skrajna i jednostronna, ale niewątpliwie kierunek polityki oparty na zasadach etycznych służy zarówno interesom całej ludzkości, jak i interesom narodu, który ją stosuje. "*What is morally wrong, cannot be politically right*" — mówi podobnie czynny polityk angielski Sir Richard Acland.

Dotyczy to też w szczególności Polski, jako kraju, który się znajduje w szczególnie trudnym i skomplikowanym położeniu międzynarodowym. Nasz wkład pozytywny do wspólnego wysiłku zjednoczonych narodów — pomimo ostatnich rozczarowań — powinien wydać owoce. Natomiast to co w historii ostatnich 20 lat Niepodległej Polski, w dziedzinie wewnętrznej i zagranicznej, było sprzeczne z tradycjami polskimi " za waszą i naszą wolność " było niewątpliwie szkodliwe i obciążyło naszą kartę historyczną. Propaganda własna i obca może lepiej, czy gorzej wykorzystać i oświetlić takie, czy inne fakty i zdarzenia, ale nie może ich całkowicie wymazać i wykreślić.

Leży w interesie Polski, żeby jej polityka wewnętrzna i zagraniczna była w zgodzie z dążnościami Narodów Zjednoczonych. Przyszłość Polski leży w sharmonizowaniu, a nie w przeciwstawianiu jej dążeń interesom Narodów Zjednoczonych. Dobrym politykiem jest ten, kto w tym duchu prowadzi sprawę polską. Jeżeli nawet potężne państwa stawiają na kartę wspólnoty międzynarodowej, czynić to musi tym bardziej Polska.

Polska nie była i nie chciała być Chrystusem narodów. Ze stanowiska zdrowego rozsądku polityka taka byłaby nie tylko nierozsądna, ale i niemoralna. Ofiara jednostki dla dobra narodu czy ludzkości jest czynem szlachetnym. Jednakże naród nie jest jednostką abstrakcyjną, lecz ciałem zbiorowym. Ofiara z interesów rodaków, aby obcym, dalszym ludziom działo się lepiej, byłaby czynem zbrodniczym. Ale byłoby również szkodliwe popaść w drugą ostateczność lekceważenia dążeń innych narodów i interesów wspólnoty międzynarodowej.

Epoka dzisiejsza stawia to samo wymaganie zarówno w stosunku do wielkich jak i mniej potężnych państw: pewnego ograniczenia ich dążności na rzecz wspólnoty międzynarodowej. Wierzymy, że w tym kierunku idzie historia.

HENRYK STRASBURGER

Polski " Commando " z psem-maskotą



Szkic sytuacyjny

POD ZNAKIEM BOMB LOTNICZYCH

Atak lotniczy na Włochy oraz przedpole Włoch — Sycylię, Sardynię i zabraną od Francji Korsykę — trwa. Lotnictwo amerykańskie i angielskie uderza w dzień i w nocy od wyspy Pantellaria po Livorno. Ataki lotnictwa sojuszniczego są zdecydowanie ciężkie; najtwardszy opór napotkano bodaj na Sycylii i kto wie czy nie dlatego Sycylia jest mniej obecnie odwiedzana, aniżeli n.p. Sardynia. *RAF i Amerykanie badają, gdzie znajdują się punkty najsłabsze, opukują obronę przeciw-lotniczą,* usiłują zniszczyć lotniska wroga.

Tego rodzaju akcja nie może być z natury [illegible] czymś bardzo szybkim; przekonaliśmy się w czasie *Battle of Britain*, jak się odbywają takie rzeczy i że nie można oczekiwać od razu bardzo śpiesznych wyników. Czy akcja lotnicza na przedpole Włoch jak i na rdzenne Włochy poparta zostanie niedługo już jakąś inną akcją — *lądowaniem*? — o tym nie możemy jeszcze decydować.

Żyjemy w każdym razie w nastroju oczekiwania. Pogłoski i doniesienia mnożą się, depesze o koncentracjach w Gibraltarze, w portach afrykańskich i t.d., podawane przez ajencje prasowe państw "Osi," dowodziłyby, że istnieją możliwości nagłego uderzenia. Być może, że inwazja wyspy Pantellaria jest jednym z pierwszych posunięć, Sardynii następnym z kolei posunięciem. Wydaje się, że atak na Sycylię wymagałby większych sił i że jest przypuszczalnie trudniejszym zadaniem.

Bez zajęcia przedpola Włoch — szczególnie Sardynii, która ma doskonałe położenie — nie można prawdopodobnie przejść do ataku wprost na rdzenne Włochy.

W tym samym czasie Rzesza otrzymuje nowe cięgi. Ataki przenoszą się w coraz to inne ośrodki. Po Essen, Dortmundzie, Duesseldorfie, Duisburgu, przyszła kolej na Wuppertal. Nasilenie bombardowania Rzeszy nie słabnie. Przeciwnie, *uzyskujemy zdaje się* — nareszcie! — *pewnego rodzaju regularność bombardowania.* Nie jest to jeszcze ów atak "*round the clock*," który się zapowiada, ale w każdym razie wysiłek jest nie tylko ogromny, ale i stały. O to właśnie chodzi.

Marszałek lotnictwa Harris zapowiedział, że bombardowanie nie zelżeje. Sir Arthur Harris, szef "*Bomber Command*" wierzy w uderzenia lotnicze. Co się jednak tai za jego przepowiednią? Czy Sir Arthur uważa, że bombardowanie Rzeszy jest *jedyną formą ofensywy*? Czy z napomknień Churchilla w Waszyngtonie nie można by wnioskować również, że tegoroczna ofensywa w stosunku do Rzeszy będzie utrzymywana wyłącznie na planie lotniczym? Tygodnik "*Tribune*" zapytuje się w n-rze z dnia 29-ego maja, czy znaczy to, że t.zw. *master plan* co do Rzeszy, polegający na stałym bombardowaniu lotniczym, jest dalej utrzymany? Czy znaczy to, że w tym roku nie można się spodziewać lądowego uderzenia na Rzeszę?

Trzeba odczekać z takimi wnioskami. Być może jednak, że w ramach programu tegorocznego leży przede wszystkim rozbicie Włoch. Trzeba by przypuszczać, że rozbicie Włoch i "wybombardowanie" Włoch z wojny zajmie jakiś czas. Jeżeli tak, to w tym roku nie byłoby zbytnio czasu na większe zadania. Tego rodzaju wniosek zdaje się nasuwać lektura licznych artykułów i rozważań strategicznych w pismach brytyjskich. Zobaczymy niedługo, czy jest słuszny, czy nie jest przedwczesny.

PRZED UDERZENIEM W ROSJI?

Doniesienia angielskie i neutralne mówią, że *uderzenie niemieckie przyjdzie do połowy czerwca.* Pisma brytyjskie podkreślają, że "jeżeli Hitler nie uderzy, uderzy Stalin." Z narad niemieckich na północnych odcinkach oraz w Finlandii wynikało by, że Niemcy uderzą od północy, że starać się będą za wszelką cenę dostać Leningrad i Moskwę, w nadziei, że to przecież musi dać jakiś wynik. Trzymanie na Kaukazie *przyczółka kubańskiego* jest zadaniem niezwykle trudnym i trzeba przyznać, że tutaj armia niemiecka dokonuje nadzwyczajnych rzeczy. Trzymanie tego przyczółka dowodzi, że wojska niemieckie chcą jednak w odpowiedniej chwili podjąć działania także na południu. Nafta kaukaska nie przestała nęcić Niemców.

Z chwilą uderzenia w Rosji, wyjaśnienia linii ataku, siły tego ataku /który, jak donoszą pewne źródła brytyjskie, może być równy sile uderzenia z lata 1941-ego/ będzie można dopiero ocenić *zamiary i plany niemieckie.* Nie wiemy, czy Rosja przejdzie do kontrataku w czasie trwania uderzenia niemieckiego, czy znowu poczeka do jesieni. Wszystko co na ten temat można by powiedzieć będzie przede wszystkim i głównie— *prorokowaniem na ślepo.*

ZŁE CZASY NA U-BOOTY

Wojna podwodna przybiera obrót dla Niemiec zdecydowanie niepomyślny. Nawet sami Niemcy czują, że trzeba jakoś wytłumaczyć swoje niepowodzenia, skoro Hans Fritsche, najpopularniejszy komentator radia niemieckiego, musiał szeroko udowadniać swoim słuchaczom, że nie można zawsze topić tak szybko, jakby się chciało i że muszą być *gorsze miesiące* po wybitnie dobrych.

Faktem jest, że *używanie lepszych konwojów oraz coraz większa osłona lotnicza sprawią, że niemieckie okręty podwodne są przyciskane coraz bardziej.* Ostatnie starcia świadczą, że straty w okrętach podwodnych są coraz większe. Zatopienie 3 czy 4 czy nawet 5-ciu okrętów należy dzisiaj do pewnego rodzaju normy w większych starciach, *a udział bombowców coraz bardziej przekreśla rachuby niemieckie.* Stworzenie skutecznej osłony lotniczej będzie dopiero wtedy zakończone, kiedy od brzegów brytyjskich do amerykańskich rozciągnie się *jeden parasol lotniczy.* Na razie jeszcze sporo do tego brakuje, ale już lotnictwo okazuje się coraz bardziej śmiertelnym wrogiem okrętów podwodnych.

Przypuszczano nie od dzisiaj, że lotnictwo i na tym polu okaże się potężną bronią. Posiada ono bowiem olbrzymie zalety — *rozległe pole widzenia, wielką szybkość,* a więc te rzeczy, których nie może mieć w tym stopniu kontrtorpedowiec ani żadna jednostka nawodna. Wypatrywanie okrętów podwodnych i dobieranie się do nich jest niebywale ułatwione przez posiadanie silnego lotnictwa przybrzeżnego. Z drugiej strony należy przyśpieszyć tworzenie sił, któreby zapuszczały się na wielkie odległości w morze. Jeżeli połączy się te dwie rzeczy, to *pole działania okrętów podwodnych skurczy się od razu.*

Doniesienia jakie ostatnio nadchodzą, mówią, że w licznych wypadkach niemieckie okręty podwodne wolały wyjść na powierzchnię i walczyć na wodzie, aniżeli zanurzać się /*crash dive*/. Nawidoczniej bomby hydrostatyczne /*depth charges*/ stają się dla nich coraz bardziej nieprzyjemne. Szanse uratowania się w walce na powierzchni są oczywiście niepomiernie większe, aniżeli przy zanurzeniu się, gdzie na powierzchnię wypłynie raczej plama oliwy, aniżeli załoga.

Dowodziło by to, że straty w personelu okrętów podwodnych są duże i że załogi zaczynają odczuwać te straty. W wojnie ubiegłej okręty podwodne Rzeszy ucierpiały srodze, szczególnie w maju 1918-ego. Posyłano wtedy po 15 okrętów podwodnych miesięcznie na dno /ale już na zawsze/; miesięcznie 800 oficerów oraz marynarzy ginęło w falach. *Obecnie topi się o wiele więcej.* Nawet jeżeli przyjąć, że Rzesza posiada o 150 procent więcej okrętów podwodnych, aniżeli w wojnie światowej /niektórzy uważają, że ma ich o 300 procent więcej/, to jeszcze straty, jakie ponosi ostatnio niemiecka flota podwodna są zbyt ciężkie, by mogła je znieść przez czas dłuższy.

Jeżeli sojusznikom uda się opanowanie grozy okrętów podwodnych, to wówczas *ostatnia karta niemiecka* zostaje przekreślona. Szwedzkie pismo "*Goeteborgs Posten*" wypowiada taki właśnie wniosek, zaznaczając, że społeczeństwo niemieckie łudzono przez bardzo długi czas, że okręty podwodne wywalczą, jeżeli nie zwycięstwo to — *rokowany pokój,* albowiem stworzą dla W. Brytanii położenie bez wyjścia.

Dzisiaj nadzieja ta kruszy się na oczach społeczeństwa niemieckiego.

KU UGODZIE W AFRYCE FRANCUSKIEJ

Spotkanie generałów de Gaulle oraz Giraud dochodzi nareszcie do skutku i *możliwości stworzenia jedności francuskiej są dzisiaj lepsze, niż kiedykolwiek.* Generał Georges, który zjawił się w Afryce i oddał do dyspozycji generała Giraud jest doskonałym nabytkiem dla Francji Wolnej — jako człowiek charakteru, decyzji, dobrej wojskowej przeszłości.

Okazuje się, że pomimo całego krzyku tych wszystkich, którzy wołali, iż Roosevelt z Churchillem popierają Vichy, że Giraud to właściwie prawie zdrajca a Eisenhower to "politycznie niemożliwy człowiek" — rozwiązanie w Afryce było jedynie słuszne i dobre. Nie było ono szybkie, ale dało wyniki. Nie można tego rodzaju procesów przyśpieszać, nie można działać pod wpływem impulsów. Doszło się dzisiaj do wyników rzetelnych, a ten sam generał Eisenhower, który był niemal "politycznie nieodpowiedzialny" /jak wołały pewne pisma radykalnego chowu/, dzisiaj chwalony jest jako taktowny i rzeczowy człowiek.

Droga obrana przez Roosevelta i Churchilla była słuszna. Krzykactwo okazało się raz jeszcze niesłuszne. Nawoływania tanich demagogów nie potrafiły, na szczęście, odwieść kierowników polityki alianckiej od przeprowadzenia całej sprawy w należyty sposób.

Londyn, dnia 31-ego maja 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

23 maja: Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały dwie wyprawy bombowe. Wszyscy piloci polscy powrócili.

24 maja: Dwie polskie załogi "intruderskie" dokonały wypadu nad teren okupowany przez nieprzyjaciela. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Wszyscy piloci polscy powrócili z tego działania.

25 maja: W Waszyngtonie odbyła się konferencja prasowa prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla. W czasie tej konferencji Churchill oświadczył, że wojna będzie prowadzona równocześnie z jednakową siłą w Europie i Azji.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały dwie wyprawy bombowe. Wszyscy piloci polscy powrócili.

26 maja: W nocy z 25/26 polskie dywizjony bombowe brały udział w bardzo silnym nalocie na Düsseldorf. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Tej samej nocy, polskie załogi "intruderskie" wykonały loty nad tereny okupowane przez nieprzyjaciela. Wszyscy lotnicy polscy powrócili.

—Naczelny Wódz gen. Sikorski przybył do Kairu w drodze na Środkowy Wschód, gdzie udaje się celem dokonania inspekcji oddziałów Armii Polskiej na Wschodzie.

27 maja: Polskie dywizjony myśliwskie wykonały zadanie "wymiatania" nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela. Wszyscy piloci polscy powrócili.

—Zakończyły się narady połączonych sztabów brytyjsko-amerykańskich w Waszyngtonie. Osiągnięto zupełne porozumienie — jak głosi oficjalny komunikat — co do przyszłych działań na wszystkich teatrach wojny.

—Generał Sikorski odbył konferencję z ambasadorem Romerem w Kairze. W konferencji tej uczestniczył gen. Anders, dowódca Armii Polskiej na Wschodzie.

—Arcybiskup Nowego Jorku Spellman odwiedził oddziały Armii Polskiej na Wschodzie.

28 maja: W nocy z 27/28 polskie dywizjony bombowe brały udział w bardzo silnym nalocie na Essen. Wszystkie załogi polskie po wykonaniu zadania powróciły do baz.

—Tej samej nocy polskie załogi "intruderskie" wykonały lot wgłąb terytorium nieprzyjacielskiego. Jedna załoga polska nie wróciła.

—Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzając "wymiatanie" nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela zostały zaatakowane przez myśliwców niemieckich. Jeden pilot polski nie wrócił.

—Generał Sikorski, przebywając w Kairze, złożył wizytę głównodowodzącemu wojsk alianckich na Środkowym Wschodzie — gen. Sir Henry Wilsonowi, z którym odbył dłuższą rozmowę.

29 maja: Prasa przyniosła nowe szczegóły o ożywionej działalności bojowców polskich w Kraju.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Po wykonaniu zadania wszyscy piloci polscy powrócili.

30 maja: Nastąpiło spotkanie generała Giraud z generałem de Gaulle w Algierze.

Nowości lotnicze

Afrykańskie zwycięstwo Sprzymierzonych, którego ostatnia faza odbywała się pod znakiem lotnictwa, wprowadziło świat wojujący w drugi okres działań ofensywnych. I oto początek tego okresu, jego pierwsza faza, rozwijać się będzie w powietrzu. Celem walk będzie przewaga w powietrzu nad Morzem Śródziemnym i wybrzeżem włoskim.

Już w tej chwili wydawać by się mogło, na podstawie dotychczasowych wyników osiągniętych przez R.A.F. i lotnictwo amerykańskie, że szale zwycięstwa przechylają się definitywnie na stronę Sprzymierzonych. Rzeczywiście, pierwsze dni walki przygniotły tak silnie do ziemi "Reggia Aeronautica" i "Luftwaffe," że podobna opinia wydaje się całkowicie usprawiedliwiona.

Mimo woli patrząc na to, co się dzieje na Sycylii, w Kampanii i północnych Włoszech, nasuwa się podobieństwo z dziejami 1939 roku, gdy to lotnictwo polskie ulegało dziesięciokrotnie przeważającej sile, sprzętowi i uzbrojeniu przeciwnika. Nawet stosunek sił w tej chwili, kiedy to piszemy, jest podobny. Również cele działania lotnictw Sprzymierzonych są jednakowe z ówczesnymi celami "Luftwaffe" nad Polską. Cele te są następujące: a/ zniszczenie baz lotniczych przeciwnika na ziemi, b/ zniszczenie siły lotniczej przeciwnika w powietrzu, c/ działanie na moral ludności.

Niewątpliwie wyniki będą dodatnie, lecz nie należy bynajmniej spodziewać się, że wszystko pójdzie gładko i przeciwnik stale nie będzie w stanie przeciwstawić sile siły. Znów wracając do analogii 1939 trzeba sobie uzmysłowić fakt, że w Polsce lotnictwo od razu nie tylko utraciło swe bazy (przy czym ostatnie zostały zabrane przez uderzenie od tyłu armii sowieckiej), lecz także nie miało dalszego zaplecza. Personel i materiał ruchomy znalazł się w Rumunii, częściowo na neutralnych Węgrzech, a więc po za akcją.

Włochy posiadają jednak tyły bardzo obszerne i szerokie zaplecze okupacji niemieckiej, mogą też liczyć na pomoc z Niemiec, która, jak się wydaje—nie będzie najmniejsza. Mimo pogłosek pochodzących ze źródeł neutralnych, które wskazywałyby na to, że Niemcy raczej wycofują swe siły lądowe z południowych Włoch, niż je wzmacniają, mimo wielce prawdopodobnych zapewnień dyplomatów, iż w tej chwili ambasador niemiecki w Rzymie v. Mackensen stara się jedynie o to, by nieunikniona kapitulacja Włoch stała się raczej ciężarem dla Sprzymierzonych, niż szkodą dla interesów niemieckich — trzeba zachować ostrożność w ocenie sytuacji. Z pomocą lotniczą dla Włoch należy się poważnie liczyć. Bowiem Niemcy muszą walczyć o czas.

Jak to w tej chwili ogólnie wiadomo Niemcy jeszcze rok temu powzięli bardzo zasadniczą decyzję przestawienia produkcji lotniczej z bombowców na maszyny myśliwskie. Nie wiadomo było dotychczas — w jakiej mierze. Obecnie możemy z całą pewnością stwierdzić, że w takiej mierze, iż to równocześnie oznacza przejście z organizacji ofensywnej na defensywną.

Następstw tej decyzji na większą skalę, a więc i działania wielkich zgrupowań myśliwskich, należy spodziewać się w najbliższym czasie. Może za miesiąc, może za dwa. Niemcy przestawiając swą produkcję, mogli uzyskać wiele. Zdaniem fachowców pozwoliło im to skoczyć z ogólnej produkcji 2800, na 4300. Oznaczało by to podniesienie produkcji maszyn bojowych o jakieś 50 procent. Nadto w czasie, gdy "Luftwaffe" stanęła wobec kryzysu załóg, ułatwia to niepomiernie szkolenie ich i uzupełnianie. Produkcja pilota myśliwskiego jest po za tym szybsza, niż produkcja pilotów bombowych, nawigatorów, czy specjalistów z pośród załogi.

Wyniki decyzji przestawienia produkcji dadzą się odczuć tedy na polu walki zwiększeniem dyspozytywu bojowego "Luftwaffe." Tutaj zaznaczyć należy, że "Reggia Aeronautica" znajduje się w takim stanie, że mimo nominalnej siły 1500 samolotów pierwszej linii nie zaważy chyba na szali. Sprzęt włoski jest raczej przestarzały a produkcja pod wielkim znakiem zapytania. Niemcy rozporządzają pewną rezerwą strategiczną w obrębie samych Niemiec, nadto mogą wycofać pewne siły z Francji.

Otóż ostatnie wiadomości, które napłynęły ze Szwajcarii, jak również z innych krajów neutralnych wskazują na to, że owa strategiczna rezerwa została ruszona i skierowana do Włoch, pod rozkazy Kesselringa. W następstwie musi dojść do walk, które mogą w znacznej mierze utrudnić lotnictwu Sprzymierzonych częste przenikanie dzienne na głębokie tyły włoskie, ograniczając je chwilowo do promienia zasięgu lotnictwa myśliwskiego działającego z baz tuniskich.

Jak się dotychczas przedstawiała sprawa podziału niemieckiego lotnictwa myśliwskiego na poszczególnych frontach? Możemy zrobić następującą tabelkę:

Myśliwców	*dziennych*	*nocnych*
Front rosyjski	400	60
Front śródziemnomorski /Włochy, Bałkany etc./	250	90
Północna Francja	350	200
Niemcy	220	500
	1220 +	850 = 2070

Ogółem tabelka wydaje się prawdopodobna, gdyż wiadome było, że dotychczas "Luftwaffe" posiadała około 2000 myśliwców (traktujemy tę cyfrą najogólniej, bez precyzowania rodzaju myśliwstwa).

Należy się tedy liczyć z zasileniem frontu włoskiego 200-300 myśliwcami, z tym, że w pewnej nawet niedalekiej chwili możemy być świadkami wprowadzenia masy 1000 do 1200 myśliwców rozmaitego rodzaju już z wyników ostatniej produkcji zarówno sprzętu jak i pilotów. Dotychczas ten odwód nie grał i nie jest notowany. Grać będzie, jak wskazaliśmy uprzednio w przyszłości najbliższej 4-8 tygodni.

Skierowanie cennej rezerwy strategicznej z Niemiec do znajdujących się w przededniu klęski Włoch ma ważne cele: osłabienie siły ofensywnej Sprzymierzonych i zmuszenie do sięgnięcia przez nich do rezerw z terenów Wielkiej Brytanii czy Ameryki. Wiadomo zaś, że o ile niemieckie linie zaopatrujące są stosunkowo krótkie i bezpieczne, o tyle Sprzymierzonych nawet mimo olbrzymiego skrótu, uzyskanego przez oswobodzenie Morza Śródziemnego, przecież ciągle są dłuższe i pozostają w zasięgu niemieckich okrętów podwodnych. Gdyby to się udało, "Luftwaffe" mogłaby doczekać się swych wielkich rezerw.

Front zachodni stał się w tej chwili dla Niemiec frontem, na którym nie spodziewają się własnych działań ofensywnych. Niemniej front zasypiać nie może. I tu znajdujemy wytłumaczenie obecnej taktyki nalotów "Luftwaffe" na Anglię. Jak zwykle Niemcy działają nadzwyczaj oszczędnie. Mimo osłabienia liczebności niemieckich jednostek w północnej Francji, Londyńczycy powinni się przygotować na jeden czy drugi poważniejszy "Blitz." Będzie to tylko zależne od niemieckich możliwości zebrania raz czy drugi na jedną noc mniej więcej stu bombowców a takie możliwości ciągle jeszcze istnieją. Także nie ustaną naloty o charakterze wybitnie nękającym.

Sprzymierzeni tymczasem trwają w ofensywie lotniczej na wszystkich frontach, przy czym główny wysiłek skierowany jest naturalnie na Niemcy i Włochy. Działania prowadzone są według dwojakiej taktyki: masowych nalotów na okręgi przemysłowe, oraz niszczenie małymi, specjalnie szkolonymi jednostkami szczególnie czułych punktów w systemie organizacji przemysłowej czy komunikacyjnej Niemiec. Przykładem tych ostatnich działań było zniszczenie tam w Ruhrze.

Kto wie, może w miarę rozwoju wypadków, ta druga taktyka weźmie górę nad pierwszą. Następne miesiące działań przyniosą nam bardzo dziwne niespodzianki właśnie w dziedzinie lotniczej.

M. J. GORDON

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Jan Grudziński

I. Gdynia

Po ukończeniu Korpusu Kadetów przyszły komandor dostał się na letnią praktykę do pińskiej flotylli. Był to cios w ambicję. Kadeci marynarki U.S.A. pływają na Hawaje. Pamiętasz te pływające fortece i te nazwy: Honolulu, Borneo, Filipiny. Same słowa pachną wiatrem i przestrzenią. Mówią o dalekiej egzotyce, czarują. Widzieliśmy to na ekranie. Biali dżentelmeni schodzą ze stalowych potworów na kwitnący ląd. Witają ich beztroskie, piękne dziewczęta wieńcami kwiatów i śpiewem.

Jak daleko nam do tego. Już nie chodzi o marzenia o Morzach Południowych, o groźnym Pacyfiku, ale nawet Bałtyk nie był dostępny w tym roku dla Grudzińskiego. Inni szczęśliwsi poszli tam na pływanie. Zwiedzą może Estonię, potrącą o Danię.

Kadeci marynarki U.S.A. znają Buenos Aires i Rio de Janeiro. Znają Caroliny i Markizy. Wychodzisz z głową pełną szumu z kina i nagle w te słowa migocące brylantowo, pachnące pomarańczą i magnolią, brzmiące melodią hawajskich gitar, wpada nazwa — Pińsk. Wstrząsasz się. Z błękitnego snu wchodzimy w szarą rzeczywistość. Lecz już wtedy zastanawiające, że się nie skarżysz, nie żalisz, nie lamentujesz. Twoja jedyna reakcja na przykrości i niepowodzenia to zaciskanie zębów.

Po jakimś czasie nadchodzi Twój list. Polesie Cię urzekło. Na dużych arkuszach papieru, drobnymi literami tworzysz dla mnie epos tego kraju. Nie znam jeszcze wtedy Polesia, lecz poznaję go przez Twoje zmysły. Senność rozlanych wód, cisza ostępów leśnych, ta cisza z pierwszego dnia stworzenia świata, ukazuje mi się, jakbym sam wędrował przez tę krainę wzdłuż i wszerz.

Na jakimś zapadłym ostrowie ląduję z Tobą w tajemniczy i nienazwany wieczór. Spotkamy chatkę na kurzej nodze. Dym smolniaków bije w niebo prostym i zdecydowanym słupem, jak dym z ofiarnego stosu Abrahama. Ten dym jeszcze się nie zaraził dwudziestym wiekiem. Puszcza zazdrosna i łakoma strzeże dostępu niepowołanym.

Na progu kurzej chatki zjemy wieczerzę z rybakiem. W płócianej, samodziałowej koszuli i parcianej siermiędze ten starzec wygląda również biblijnie. Żywi nieufność ku nam, obcym przybyszom. Lecz duch puszczy urzeka; rzuca na nas swoje tchnienie. Stajemy się bliscy tym drzewom i wodom, zaczynamy rozumieć ich ciszę.

Wtedy starzec zaczyna prawić. Tłumaczy nam gusła. Dziś wiem, że nie jest to nic innego, jak prawa równowagi pomiędzy światem zewnętrznym, a pierwotną duszą człowieka.

Wtedy jesteśmy wyżsi ponad to. O trzy kilometry drzemie w rokicinach motorówka. Za tą motorówką jak za pierwszym ogniwem łańcucha idą ogniwa następne: elektryczność i radio, bezrobocie i propaganda, nadprodukcja i kryzys, Ford i kryminalna powieść, kino i bóg dwudziestego wieku rządzący miłością i nienawiścią, bóg wywołujący wstrząsy i wojny, najstraszliwszy z wszystkich bogów, jakich kiedykolwiek miała ludzkość, bóg zwany naftą.

Postępowsi więc wtedy o ten cały aparat wyższej magii jesteśmy nieczuli dogłębnie na bajania biblijnego rybaka. Spływa ono po nas wierzchem, mimochodem. Lecz nawet wszyscy bogowie dwudziestego wieku nie uchronią nas od zachwytu nad duszą tej dzikiej, bezdennej krainy. Z ziemi i moczarów, z drzew, z dymu i płomieni ogniska unoszą się szepty i kuszenia. Poddani ich rytmom i przepływom siedzimy na tym ostrowie, aż do czasu, gdy zorze poranne wezmą w swe posiadanie niebo. Wejdziemy wtedy na zawsze całym sobą w tę mowę puszczy, jak do domu z sosnowego drzewa, pachnącego żywicą, do domu, który przytula i obejmuje. I wtedy już nie będziemy żałowali, że nas ominęły Hawaje, wyspy Salomona i Alaska.

Ukończyliśmy szkoły. Zaczęły się sypać lata. O, lata niepowrotne! Pamiętam to mieszkanie na Oksywiu z oknami oplecionymi bluszczem i patrzącymi na morze. Było słoneczne i proste, jak jego właściciel. Dębowe, ultranowoczesne biurko, tapczan obity ciemnym granatem, krzesła. Na ścianie kilim ze znakami zodiaka. Na biurku duży żaglowiec. W oknach, powtarzam, zawsze stało morze i słońce. Szemrał bluszcz. Płynęły obłoki.

Pamiętam, zawsze gdy wchodziłem do tamtego mieszkania, miałem wrażenie, że wchodzę w czyjeś życie, które nie potrzebuje żadnej osłony ani tła. W mieszkaniu, jak w zwierciedle odbijała się ta prosta, żądna przestrzeni i ruchu, dusza. Poznawałem domy przeładowane przepychem lub przepełnione nędzą. Nie biorąc zresztą krańcowości, poznawałem wiele domów przeciętnych ludzi. W domach tych jednak, czasem zaraz za progiem, leżała atmosfera dążeń za przepychem lub dobrobytem, za posiadaniem lub miłością, za zdobywaniem lub wypoczynkiem. Z mieszkań tych domów, jak z zawiłych rebusów, można było wyczytać jak napór namiętności kształtował ludzi i powodował nimi. Z tysiącznych przedmiotów oddzielała się dusza człowieka formowana pod naporem świata. Jakże mały i blady wychodził często człowiek po tym rebusie.

Mieszkanie na Oksywiu miało dla mnie coś ze starogreckiej świątyni i coś ze szklanych domów przyszłości. Gdy przekraczałem jego progi, pozostawiałem nazewnątrz osad z zetknięcia się ze światem i ludźmi. Gdy opuszczałem je czułem się, jakby wykąpany i odświeżony, a sylwetka mego kolegi nabierała teraz dopiero właściwego światła i ukazywała się od wewnątrz.

I myśląc wtedy o nim, widziałem go, jak przemykał się niepostrzeżenie w swym granatowym mundurze poprzez ulice miasta. Był niepokaźny, nierzucający się w oczy i nikt nań nie zwracał uwagi. Gdyby się pojawił na dancingu, nie dostrzegałaby go żadna z dziewczyn. Za to pasował doskonale do okrętu, jak pasuje górnik do podziemnych sztolni. Był na swoim miejscu w piekle kotłowni starych torpedowców, pędzonych nie ropą, lecz węglem. Jako najmłodszy oficer miał służby jedną po drugiej.

—W lecie pół biedy — mówił — Ale wyobraź sobie w zimie.

Usiłowałem sobie wyobrazić. Rozgrzany, opływający potem wybiegał w przejmującą do szpiku kości północną wichurę.

—Wytrzymujesz? — pytałem.

—Trzeba — odpowiedział.

Do tego czasu miałem wyrobione pojęcie, że służba na morzu jest zdrowa. Każdy inny nie uchroniłby się od warknięcia: — Psia służba, Grudziński mówił do mnie, jak mówi chirurg o operacji do drugiego chirurga:

—Za duże różnice temperatur.

Widziałem to sam. Stalowe drzwi były tak gorące, że parzyły. O kilka kroków bielił się szron na blachach. Nie zdziwiłem się zupełnie, gdy pewnego razu dostałem list usprawiedliwiający chorobą dłuższą przerwę w korespondencji. Grudziński przeszedł zapalenie płuc.

—Było ze mną niewesoło — pisał. Wiedziałem, że gdy tak pisze, to znaczy, że było z nim tragicznie. W całym liście ani słowa skargi na to, że wyznaczali go raz za razem do psiej wachty, ani słowa żalu, że nie miał urlopu, że nie miał czasu na rozrywki. Wszystko złe, całe niebezpieczeństwo utraty życia sprowadzał do tego samego określenia co poprzednio.

—Rozumiesz, nic dziwnego, że mnie chwyciło, bo przecież za duże różnice temperatur.

Po wygrzebaniu się z choroby, wyrzucono go na wypoczynek do Krynicy. Tak, dosłownie wyrzucono, pomimo jego sprzeciwu. Istnieją bowiem ludzie opętani pewną myślą, czy żywiołem, jak derwisze opętani ekstazą religijną. Grudziński — szalony derwisz na punkcie morza i okrętu — ledwie się zwlókł z łóżka, przyszedł na swój O.R.P. "Czajka," a był to grudzień czy luty. Jego przełożony powiedział mu wtedy, że lubi na pokładzie marynarzy, ale nie znosi wariatów. Grudziński jeszcze coś bąkał, że choroba przeszła i że on musi się z powrotem hartować, bo go szpital wydelikatnił. Wtedy najbliżsi jego koledzy wyrzucili go z okrętu za kark, a adiutant przysłał bilet kolejowy do zdrojowiska i zakaz wracania przed miesiącem do Gdyni.

Gdynia! Są miasta piękne bogactwem otoczenia, miasta malownicze, ozdobione w przepychu widoków, jak jabłoń na wiosnę w kwiecie. Są inne piękne patyną przeszłości, gdzie każdy kamień ma swoją historię, gdzie wśród gotyckich sklepień każdy krok budzi śpiące echa. Gdynia była inna. Była piękna młodością i energią. Była ponętna jak młoda dziewczyna, mająca za całą ponętę swoją młodość i zdrowie. W Gdyni nie było ludzi starych. Tu wszystko od domów do myśli było młode, pnące się do góry, nieprzeciętne.

Inne miasta patrzyły na to *l'enfant terrible* z podziwem i zazdrością. My, Mój Stary, czuliśmy się tu zawsze jak na pokładzie dobrego okrętu. Tu nigdy nie stało się w miejscu, nigdy czas nie zatrzymywał się w bezproduktywnej jałowości, jak to się zdarza często ludziom z miast w głębi kontynentu. Tu morze wołało setkami kranów, tysiącami okrętów, biło falą, walczyło z człowiekiem, krzyczało o wspaniałym Jutrze. Pamiętam ten skrzyp, zgrzyt i jazgot stalowych, ogromnych potworów. To dragi pogłębiały port pomiędzy Gdynią a Oksywiem.

Była cudowna, księżycowa noc, gdyśmy płynęli szalupą po srebrnych falach. Ten zgrzyt żelaznych rekinów rozbijał w drzazgi spokój nocy i słodycz leniwej fali. Byłem zły, lecz potem zrozumiałem, że właśnie to tętno nieprzerwanej pracy, ten zziajany puls mocno i niezachwianie bijący każdej sekundy, to właśnie Gdynią.

Kochaliśmy jej wspaniałość, jej kontrasty. Pamiętasz, idziesz rozszumiałą, wrzącą ruchem ulicą /ludzie, samochody, wystawy sklepowe za ogromnymi taflami szkła/ aż naraz zupełnie znagła, zupełnie bez przejścia znajdujesz się w szczerym polu. Łan zboża płynie falująco; tu i tam połyskuje w nim bławatek. Nad łanem w cichym niebie skowronek. Człowiek przystawał oszołomiony nagłą zmianą. Było to tak szybkie i raptowne jak na ekranie. Było to cechą Gdyni bijącej amerykańskie rekordy. Gdy Grudziński zrobił wycieczkę do Ameryki, zapytałem go o wrażenia stamtąd.

—Wyobraź sobie Gdynię za lat dwadzieścia, a będziesz miał Nowy York — odpowiedział.

Jakże byliśmy dumni z tego naszego miasta, które powstało na wolności, nie znając niewoli. Każdego lata, gdy przyjeżdżałem do Gdyni, Grudziński oprowadzał mnie po wszystkich jej zakątkach i zakamarkach.

—Poznajesz to miejsce? — pytał.

Poznawałem i nie poznawałem. Jak dziecko przestawia klocki przy zabawie, tak tu ktoś przestawiał całe połacie lądu i morza. Tam, gdzie rok temu jechałem motocyklem, tam teraz wpływał duży transportowiec. Tam, gdzie stał zakotwiczony "Jurand," na którym zrobiłem wycieczkę do Szwecji, teraz można była spacerować patrząc na taflę wody z wysokości kilku metrów.

Wydawałem co chwila okrzyki podziwu jak facet z zaklęśniętej prowincji, który przyjechał do stolicy. Ten rozmach twórczy, ten nerw życia, to nonszalanckie, wspaniałopańskie przechodzenie nad rzeczami mniejszej wagi do porządku dziennego napełniało zachwytem.

Pamiętam, gdy w Krakowie chciano zburzyć nędzną ruderę zwaną Wikarówką, jakieś świątobliwe towarzystwo, zakon, czy kongregacja zamieszkujące ruderę poruszyło odpowiednie nitki. Zrobiła się burza w szklance wody. Jedni artyści dowodzili, że trzeba zburzyć, by odsłonić widok na kościół Mariacki, inni twierdzili, że właśnie kościół ma tylko wyraz i charakter, gdy jest otoczony średniowiecznymi, wąskimi uliczkami i że zburzenie Wikarówki pozbawi go tego wyrazu. Opinia publiczna podzieliła się na dwa obozy. Ponieważ dziennik wydawany w Krakowie należał do najpoczytniejszych pism w Polsce, wkrótce cała Polska jak długa i szeroka podzieliła się na zwolenników i przeciwników Wikarówki. Ludzie przez pół roku nie mieli poważniejszych tematów. Zapisano tomy, zużyto tysiące kilometrów papieru gazetowego. Na tle tego tematu wyżywali się historycy, artyści, pisarze i poeci. Gdy w kanikule braknie tematu, wtedy tworzy się węża morskiego. Wikarówka pobiła wszystkie węże, jakie się ukazały od czasów Gutenberga. Wikarówki wkońcu nie zburzono i nie zachowano w całości. Skurtyzowano ją, by dogodzić jednym i drugim. Efekt był przeciwny. I jedni i drudzy nie mieli dość słów oburzenia.

Jakże inaczej było tu w Gdyni. Wspaniała, pięciopiętrowa kamienica wyłamywała się z linii ulicy, bo zbudowano ją, gdy ulicy jeszcze nie było. Ale to nic. Kamienica nie będzie zawalidrogą, bo się ją zburzy prędko i ulica pobiegnie dalej prosto. Odbywa się to wszystko sprawnie bez rozgłosu i kłótni. Ludzie tego miasta nie mieli czasu na zastanawianie się i spory w tak błahych materiach. Naprzód, ciągle naprzód — było hasłem tego miasta.

O najcudowniejsze w świecie miasto szerokiego oddechu, miasto męskie i młode, miasto pieniące się warem energii. Jakże nam było dobrze, Przyjacielu, w tym mieście. Szliśmy często wyobrażeniami w przyszłość do tej Gdyni, która będzie za lat kilkanaście. Aż mowę nam odejmowało z zachwytu. Czy znasz bracie te projekty? Właściwy, olbrzymi port werżnie się w ląd pomiędzy Gdynię, a Oksywie. Te dwie dzielnice połączy na razie most. Most będzie oczywiście podnoszony dla przepływu okrętów. Później pod zatoką pójdzie tunel. Na molo, idącym w morze stanie pomnik zjednoczenia ziem polskich wysoki na sto metrów. Na Górze Kamiennej wyrośnie cud architektury, katedra. Jak pomnik Wolności jest symbolem portu w Nowym Yorku, tak katedra stanie się symbolem Gdyni. Całe wybrzeże pomiędzy Gdynią a Orłowem zamieni się w cudowny park. Brzegiem pójdzie autostrada.

Stojąc na Kamiennej Górze wytyczaliśmy granice przyszłej Gdyni. Budowaliśmy ją w myślach, widzieliśmy ją nieomal, jaka będzie za lat parę. Byliśmy niezmiernie dumni i szczęśliwi. To miasto było we wszystkim, do najdrobniejszych szczegółów nasze. Odpowiadało naszemu wiekowi, naszym naturom. Tak, zbudujemy tu coś takiego, że świat oniemieje z zachwytu.

Któregoś roku miny nam się wydłużyły. Projekt budowy katedry na Górze Kamiennej upadł. Bąkano, że podobno władze wojskowe wyraziły sprzeciw, gdyż służyłoby to za punkt orientacyjny dla nieprzyjacielskiej artylerii w razie wojny. Nie wiem, ile w tym było prawdy, dość, że obaj znienawidziliśmy kretynów, usiłujących wmówić w nas, że ten powód jest wystarczający. Było to tak głupie, że przypominało idiotę, chcącego obronić dom od pożaru przez wbicie szpilki w podłogę obok kominka. Człowiek zdrowo myślący tego nie rozumiał, więc wariat mu tłumaczył.

—Zgodzi się pan z tym, że iskra z kominka, padająca na podłogę może wzniecić pożar.

—Oczywiście — odpowiadał zdrowo myślący człowiek.

Wariat uśmiechał się przebiegle.

—A teraz proszę sobie wyobrazić, że ta iskra upadnie na szpilkę . . .

Wkrótce ukazały się w ilustrowanych pismach projekty rozbudowy Gdyni. W centrum miasta robiono plac i pakowano tuż obok niego katedrę. Że to będzie przypominać średniowiecze. Że od razu, za jednym zamachem wzbogaci Gdynię o starszy i dostojniejszy wygląd. Obaj mało nie płakaliśmy z bezsilnej złości. Ci durnie uważali Gdynię za wzbogaconego parweniusza, któremu na gwałt trzeba było dorabiać przodków. Jakby nie widzieli, nie rozumieli, nie czuli, że cały urok i piękno tego miasta leży w jego młodości. Na Górze Kamiennej miano budować dzielnicę willową.

—Świątynia powinna górować nad miastem, nie miasto nad świątynią — mówił Grudziński.

—Rozumieli to Grecy, budując Akropol — dodałem.

A Kali, kapitan marynarki, starszy od nas i mądry obieżyświat, powiedział, że to nie tylko Grecy. Że wszyscy mający trochę oleju i przyzwoitości w głowie budują świątynie na wzgórzach. Opisywał nam, jak kościół Notre Dame de la Garde góruje nad Marsylią, jak katedra nad Lyonem, jak posąg Chrystusa nad Rio de Janeiro, zresztą nie sięgając tak daleko, wspomniał o Jasnej Górze.

Widzieliśmy w wyobraźni, jak tum katedry wtłoczony pomiędzy drapacze chmur zatraca się i maleje, jak tam na Górze Kamiennej, tam, gdzie teraz króluje krzyż, rosną jak grzyby po deszczu pałace dorobkiewiczów.

—Może niektórym wprost chodziło o to, żeby tu sobie pobudować wille? — ktoś wpadł na pomysł.

Zlękliśmy się tej myśli, ale w nas zapadła i zaczęła nurtować. Może założą tam jeszcze w przyszłości kasyno gry, którego projekt biegał od kilku lat pomiędzy Otwockiem a Orłowem. Bolało psiakrew, bolało cholernie mocno.

Idą lata, sypią się zdarzeniami, młyn życia miele nieprzerwanie potencjalną treść sił i pragnień. Stąd jak ziarna z plew, jak wypadkowa z różnokierunkowych wektorów, z wektorów różnoimiennych i nieokreślonych powstaną przyczyny i skutki. Powstanie nić wiodąca nas od błękitu w samo jądro burzy.

STEFAN ŁASZKIEWICZ



Z ŻYCIA ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE

Korespondencje własne "Polski Walczącej"

Polski podbój Iraku

Bagdad, w styczniu 1943

Nie było chyba jeszcze nigdy dotychczas w historii świata podboju kolonialnego takiego, jak obecne, polskie "podboje" na Środkowym Wschodzie. Podbijano różne kraje orężem, polityką, pieniędzmi. Ale żeby gromada wygnańców, biedaków bez grosza, straceńców, którzy przeszli prawdziwą gehennę od września 1939 r., tułając się po świecie całym o głodzie i chłodzie, zdołała podbić całe kraje dalekiego dla nas, obcego Środkowego Wschodu swą kulturą, pieśnią, muzyką, tańcem, malarstwem i piórem — tego chyba dotychczas nie bywało. I to jest właśnie wielki, triumf kultury polskiej, tej kultury, która niesiona przez żołnierzy tułaczy, potrafiła oczarować i podbić bezkrwawo naprzód Iran i Syrię, a obecnie — i Irak, kraj legend i wielkich pomników przeszłości, kolebkę ludzkiej cywilizacji.

Boć trudno nazwać inaczej jak "polskim podbojem kulturalnym" to, co się obecnie w Iraku dzieje. Pisałem już swego czasu o wielkich sukcesach polskiej sztuki i w ogóle polskości w Iranie i w Syrii. Opisywałem "Teheran *à la Polonaise.*" Obecnie trzeba by pisać o Bagdadzie i Iraku "*à la Polonaise.*" Albowiem nasza bezkrwawa, kulturalna inwazja kroczy tu naprzód siedmiomilowymi krokami. Albowiem coraz to nowe pozycje zdobywane są szturmem przez polskość i przez polską sztukę. Dziwne bywają czasem drogi, którymi chadza historia. Dużo mówiło się u nas i pisało przed wojną o potrzebie polskiej ekspansji gospodarczej na rynki Środkowego Wschodu. O takiej jednak ekspansji, jak obecna, nikt, jako żywo, nie myślał.

Bagdad w coraz większym stopniu staje pod znakiem Polski i polskości. "Inwazja" polska uwydatnia się na wielu polach. Teatr Żołnierza Polskiego i nasze orkiestry święcą jeden sukces za drugim. Na przedstawienia i koncerty polskie w tutejszym teatrze miejskim nigdy nie można dostać biletów. Bywają one zwykle wyprzedane w dwie-trzy godziny po otwarciu kas. Potem, aż do chwili rozpoczęcia przedstawienia, odbywa się zawsze prawdziwy szturm do Biura Informacji i Oświaty Armii — o miejsca. Pracownicy Biura, pomimo najszczerszych chęci, nie mogą nic poradzić, gdyż trudno w sali na 415 miejsc pomieścić tysiąc osób. Powtarza się więc, w miarę możności, spektakle i koncerty, ale i to niewiele pomaga.

Prasa miejscowa, zarówno angielska jak i arabska, poświęca przedstawieniom i koncertom polskim całe szpalty. Recenzje są utrzymane w gorących słowach. "Nie często" — pisał "*Irak Times*" o koncercie reprezentacyjnej orkiestry symfonicznej naszej armii — "zdarza się miłośnikom muzyki w Bagdadzie usłyszeć taki koncert, jak ten, który dała nam wczoraj wieczorem polska orkiestra wojskowa w teatrze im. Króla Fajsala II-go. Nader rzadko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, zdarza się, aby orkiestra wojskowa wykonywała z taką łatwością tak różnorodne utwory muzyczne, jak "Egmont" Beethovena i "Jazz in Blue" Ellingtona." Sprawozdanie zaś z premiery Teatru Żołnierza Polskiego, zamieszczone przez tenże angielski "*Irak Times,*" rozpoczynało się od słów następujących: "Jeden z najlepszych spektakli, jakie kiedykolwiek widziano w Bagdadzie — oto jednogłośna ocena przedstawienia, które wczoraj wieczorem dał nam w przepełnionej sali teatru im. Króla Fajsala II-go Teatr Żołnierza Polskiego." Obszerna, entuzjastyczna recenzja kończyła się zawiadomieniem, że bilety na drugie przedstawienie, mające odbyć się po paru dniach, są już wszystkie wyprzedane.

Również występ Teatru Żołnierza i orkiestry w Mossulu był jednym wielkim triumfem. Nie chciano po prostu wypuścić z tego miasta naszych artystów i artystek w mundurach. I co najciekawsze, że zachwyceni są nie tylko Irakczycy, ale również Anglicy i Amerykanie. Tutaj, na Środkowym Wschodzie, Anglia odkrywa sztukę polską. Czy to nie dziwne?

Wielkim powodzeniem cieszy się wystawa politycznych rysunków satyrycznych artysty-żołnierza St. Dobrzyńskiego. Prasa miejscowa poświęciła jej bardzo wiele miejsca. M.in. odwiedził wystawę naszych malarzy i rysowników J. Kr. M. Król Iraku w towarzystwie Chargé d'Affaires Rzplitej, min. Malhomme.

Prasa miejscowa poświęca wiele miejsca Polsce i jej sprawom. Ogólną uwagę zwrócił tu niedawno artykuł wstępny "*Irak Times*" p.t. "*An Heroic People*" /Bohaterski naród/ poświęcony walce rodaków naszych w Kraju przeciw ciemięstwu okupantów a podpisany przez naczelnego publicystę tego dziennika. Do artykułu dołączona była fotografia tytułowej stronicy nielegalnego pisma warszawskiego "Rzeczpospolita Polska," ze stosownym objaśnieniem. Tygodnik armii brytyjskiej, "*The Trunk and Call,*" zamieścił niedawno dwa artykuły o armii polskiej po roku 1939. Również i prasa arabska żywo interesuje się sprawami polskimi.

Niezadługo w salach Instytutu Brytyjskiego w Bagdadzie otwarta zostanie wystawa obrazów, rysunków, fotografii i wykresów o Polsce. Ma ona dać pojęcie tutejszemu społeczeństwu, czym jesteśmy i co przedstawiamy.

Życie polskie w Bagdadzie pulsuje coraz intensywniej. Polskie instytucje wojskowe i cywilne rozmieściły się prawie wszystkie w dzielnicy Wazeriyah, w pobliżu Poselstwa, gdzie zajęto szereg will. Śliczna to dzielnica, położona wśród oaz palmowych, skąpana w słońcu i zieleni. Tutaj rozbiła obóz Polska Y.M.C.A., prowadząca Dom Żołnierza i Polski Czerwony Krzyż, w którego budynku odbywają się odczyty i koncerty. Tutaj są biura Propagandy Armii i jej drukarnia, Dom Ochotniczek oraz szereg innych polskich instytucyj. Wszędzie wre wytężona praca. Przecież w samym Bagdadzie wydawane są obecnie dwa wielkie pisma polskie: tygodnik "Orzeł Biały" i dziennik "Kurier Polski," o wspólnym nakładzie tak wysokim, że o podobnym nawet marzyć nie może żadne pismo miejscowe.

Zewnętrznie Bagdad "polszczy się" coraz bardziej. Wszędzie na ulicach słychać język polski, wszędzie pełno polskich mundurów. Coraz więcej sklepów umieszcza na wystawach polskie wywieszki, a czyściciele butów, sprzedawcy gazet i szoferzy taksówkowi już dawno "nauczyli się" po polsku. Jedna z restauracyj przy głównej ulicy Al Raszid, nazwała się "Warszawa." W witrynie tej restauracji wywieszono wielkie afisze w języku polskim, zapraszające wierszem do spróbowania tamtejszych rozkoszy kulinarnych. Oto co tam czytamy:

"*Nie pół funta i nie dwa,*
I nie filsów trzysta,*
I nie setki nawet trza,
By zjeść stek soczysty.
Gospodarz."

A oto drugi wierszyk:

"*Jeśliś głodny, bracie mój,*
Wstąp tu do mnie, jak w dom swój—
Co zażądasz, dam Ci wraz,
Wstąp, odpocznij, boś się zlazł. /!!!/
Gospodarz."

Gdy przepisywałem sobie ten wierszyk, wyszedł z lokalu ów "gospodarz" i dowiedziawszy się, w jakim celu to robię, zaprosił mnie uroczyście do wnętrza, na kawę. Na Wschodzie nie wypada odmówić takiemu zaproszeniu, przyjąłem je więc i wypiłem z nim wonny nektar. Na pożegnanie usłyszałem wypowiedziane całkiem poprawną polszczyzną: "Dziękuję. Dowidzenia panu." Jedno honorarium za niniejszą korespondencję już tedy zainkasowałem.

Święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku spędziliśmy w oddziałach Armii Polskiej na Wschodzie tak pogodnie, jak nigdy dotychczas, po roku 1939. Przyczyniły się do nastroju tego dobre wiadomości z wszystkich frontów oraz świadomość, że przeszliśmy oto szczęśliwie jeszcze jeden etap naszej wielkiej wędrówki ku Polsce.

Miłych i dostojnych gości miała Armia Polska na Wschodzie podczas tegorocznych Świąt. Odwiedzili ją: minister prof. St. Kot, ambasador Rzplitej w Chinach, p. Poniński, oraz Chargé d'Affaires nasz w Iraku, p. Malhomme. Przybyli do polskiej braci żołnierskiej, "gdzieś, na pustynię Iraku," aby wraz z Dowódcą Armii, generałem Andersem i wojskami jego spędzić tak drogie każdemu sercu polskiemu dnie.

Święta udały się jak można najlepiej. Brać żołnierska śpiewała kolendy, bawiła się na przedstawieniach żołnierskich teatrów i na spektaklach kinowych, tańczyła w wieczór Sylwestrowy, składała życzenia dowódcom i kolegom. Trudno opisać wszystkie przedstawienia i inne imprezy, jakie odbyły się "gdzieś, na pustyni Iraku," przy tej okazji.

Jeden zespół teatralny wystąpił z trzyaktową sztuką "Serca na pustyni," której pierwszy akt rozgrywa się w kantynie żołnierskiej, drugi—w "gnieździe śmierci," na froncie /jako rekwizyt — prawdziwa armata . . ./, trzeci — w kawiarence, w parku Stryjskim we Lwowie, po wojnie. Sztuka, napisana przez żołnierzy, a zwłaszcza jej ilustracja muzyczna, wzbudziły szczery entuzjazm widowni. Wielkim powodzeniem cieszyła się również wielka rewia sylwestrowa w N-tej dywizji.

Poza tym odbyły się inne jeszcze przedstawienia i wiele koncertów. Jedne pod namiotami, inne — pod jasnym, rozgwieżdżonym niebem, które uśmiechało się ku nam pogodnie milionami swych światełek. Gdy patrzeliśmy na nie, gdy szukaliśmy Gwiazdy Betlejemskiej, myśli wszystkich biegły wspólnie ku dalekiemu Krajowi, ku najbliższym, którym napewno nie dane było obchodzić Świąt w tak pogodnym, beztroskim nastroju.

Generał Anders wraz z gośćmi swymi dwoił się i troił. Był wszędzie, przemawiał, składał i odbierał życzenia, łamał się opłatkiem, witał Nowy Rok wraz z żołnierzami w wielu, wielu oddziałach.

Kłopot był tylko z choinkami. Skąd je wziąć w tym pustynnym bezdrzewnym kraju? Szukały ich w przededniu Świąt całe ekspedycje "zmotoryzowane," z mizernym jednak rezultatem. Cudem jakimś udało się wreszcie zdobyć parę drzewek, ale było ich mało, bardzo mało. Nikomu jednak nie psuło to nastroju. Wszyscy byli pogodni w tegoroczne Święta, gdyż wierzą, że coraz bliżsi jesteśmy P o w r o t u i W y z w o l e n i a.

* Fils — tysięczna część Dinara, który równy jest funtowi ang.

ROMAN FAJANS

"Kurier Warszawski"

Rozpoczęliśmy rok Pański 1943 "gdzieś ma Wschodzie" — śniegu ani śladu, mrozu też, za to szakali i wódki pod dostatkiem. Wprawdzie gorzała utknęła gdzieś w drodze, ale, jak mówi Ref-Ren, "jak Polak zechce wypić, to i Anglik nie przeszkodzi." Nic dziwnego, trzeba zalać robaka, zawsze bowiem mamy jakieś zmartwienie. W zeszłym roku mieliśmy moc drzewek — nic poza tym. Teraz, gdy mamy wszystko, brakło choinek, które na gwałt trzeba było klecić z palmowych liści. Niebo w tym dziwnym kraju, mimo urzędowego ogłoszenia pory deszczowej, czyste, jak na "landszaftach," którymi Niemcy zarzucali przed wojną Iran i Irak. W każdym miasteczku można jeszcze znaleźć tę tandetę, jak polowanie na jelenie /łudząco przypominające woły/ lub "Lodę" z łabędziem, którym to arcydziełem jeden z bohaterów pana Wiecha "bez łeb" walnął swego przeciwnika.

Dziś na Wschodzie niepodzielnie króluje sztuka polska. W Teheranie przez parę miesięcy Persowie stanowili mniejszość, wszędzie słychać było polski język, a w cukierniach rozlegały się dźwięki naszych oberków i kujawiaków. Pracownia artystyczna szyła elegantkom miejscowym suknie według warszawskich wzorów. Orkiestra Warsa wraz z parą Ney, Lawińskim, Różyńską, Terné i innymi święciła sukcesy, produkując się nawet na dworze Szacha. Ostatnio Pers otworzył restaurację "Polonia," a adwokat wileński, kontynuując piękne tradycje pana Macieja — "Zacisze," gdzie zbierają się wileńczuki i gwarzą o ukochanym mieście.

Inwazja polska nie ominęła Iraku. W Bagdadzie publiczność "wyła" z zachwytu na koncercie muzyki polskiej. Nic dziwnego: grano wyśmienicie i to utwory tej miary mistrzów, jak Chopin, Moniuszko i — Glaich. Jest nadzieja, że dwaj pierwsi dostaną do towarzystwa i "mniej znanych" autorów, jak Karłowicza. Różyckiego, Noskowskiego, ale nie uprzedzajmy faktów, bowiem propaganda zwykła chodzić własnymi drogami.

Wielkim powodzeniem cieszyła się nasza rewia. Mamy dwa teatry "rządowe" /oba rewiowe/; pierwszy — to Ref-Ren, Lawiński, Oleńska, Terné, Wars, drugi — Krukowski, Andrzejewska, Gold i Petersburski.

Mamy też i dywizyjne zespoły, jeden z nich wystawił na świeżym powietrzu jasełka pióra Jadwigi Domańskiej. Tekst doskonały, pełen mocnych i wzruszających momentów, potraktowanych bardzo dyskretnie. Rozmach i operowanie plenairami przypominało dobre "Redutowe" czasy. Jadwiga Domańska i Witold Sikorski dali przykład, jakimi drogami powinna dążyć polska propaganda. W miejscu postoju Dywizji Karpackiej w rocznicę bitwy pod Gazalą w obecności gen. Andersa wystawiono z iście amerykańskim rozmachem widowisko, ilustrujące dzieje bohaterskiej Brygady.

"Orzeł Biały," organ Armii Polskiej na Wschodzie wydał numer gdański, a przygotowuje wileński i lwowski. W Bagdadzie wychodzi dziennik "Kurier Polski." Dzięki doskonale zorganizowanemu kolportażowi dociera on do najdalszych zakątków naszych brezentowych miasteczek. Codziennie rozlega się wołanie: "Kurier Warszawski" — to gazeciarze arabscy w ten sposób reklamują bagdadzkie pismo. Za "złudzenie apteczne," jak mówił Bodo w którymś z filmów, dostaje spryciarz oprócz dwunastu filsów za numer, jeszcze parę tradycyjnego "bakszyszu."

—Skończyła się wreszcie pora deszczowa i zgodnie z przewidywaniami pesymistów deszcz zaczął lać, jak z cebra. Polacy, naród przewidujący, zdążyli jeszcze przedtem rozegrać dwa mecze piłki nożnej, bijąc reprezentację Armii Brytyjskiej w stosunku 4:0, a Iraku 6:1.

Wystawa sztuki polskiej w Bagdadzie, w której biorą udział malarze-żołnierze: Józef Czapski, Józef Jarema, Edward Matuszczak, Jerzy Młodnicki, Zygmunt Turkiewicz i Stanisław Westwalewicz oraz panie Janina Bogucka, Krystyna Domańska — cieszy się olbrzymim powodzeniem. Podczas trwania wystawy koncertował kilkakrotnie doskonały pianista Z. Grzybowski.

Za parę dni odbędzie się pokaz królewskiej stadniny. Oczywiście nasz udział w nim będzie bierny, to znaczy, zmotoryzowani kawalerzyści będą płakać na widok przepięknych prawdziwych arabskich koni, a nawet z niejednej piersi piechura wyrwie się okrzyk: "Żeby tak część tej stadniny zawieźć do Polski." Kto wie, może nasze marzenia się spełnią.

Szakale, które z dziada i pradziada zamieszkują pustynię, ograniczały się dotychczas do dawania wieczornych koncertów. Przed paru tygodniami jednak jeden się wściekł i napadł na naszych żołnierzy. Jeżeli nawet tuziemców beznadziejność pustyni doprowadza do szału, to cóż my mamy robić? . . .

O "pestkach" /skrót Pom. Sł. Kobiet/ nie będę pisał, gdyż i tak wyjątki mego arcydzieła trafią do Camera Obscura, ale tym się nie martwię — ktoś zarobi 2 funty nagrody, a znajomi moi "gdzieś w Szkocji" dowiedzą się, że żyję.

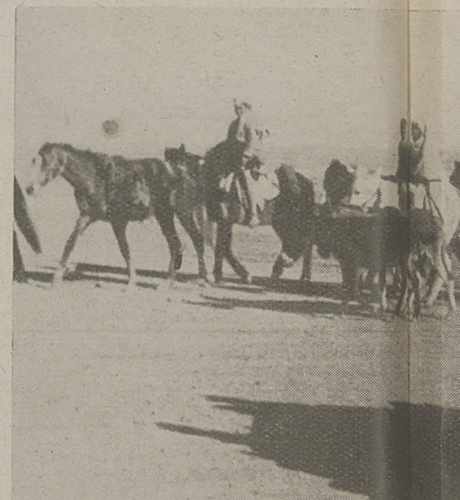
STANISŁAW JANICKI



Przed kopułami meczetów Bagdadu



W marszu przez pustynię



Spotkanie dwu światów



Fragment widowiska na Boże Narodzenie



Regent Iraku na meczu: Armia Polska — Armia Brytyjska

Wiosna w Assyrii

Przypuszczam, że żadna cenzura czy nakaz tajemnicy wojskowej nie wezmą mi za złe, jeśli powiem, że Dywizja Karpacka zamieszkuje ojczyznę Aššurbanipala. Przez pewien czas to skojarzenie łechtało nas swą egzotyką, ale spowszedniało po kilku tygodniach. Wczoraj byłem świadkiem takiej rozmowy:

—Kwaśniak, pojedziecie po mięso do rzeźni.

—Do irackiej?

—Nie, do angielskiej, tej za Niniwą . . .

Widać z tego, że dywizja jest już z Senaheribem "na ty." Kopiec zigguratu, wznoszący się po drugiej stronie rzeki koło Mimrudu stanowi dla naszych szoferów coś w rodzaju drogowskazu, czy półmetka, a ruiny Aššuru — doskonały plac ćwiczeń dla szkolenia pojedynczego strzelca.

A przecież nie dawno temu, ileż uroku posiadało słowo "Assyria" ile skojarzeń budziła Niniwa, ile barwnych obrazów nasuwał Tygrys! Stąd wniosek, że aby zachować świeżość odczuwania, trzeba unikać turystyki.

Wracając do tematu, wszystkim Aššurbanipalom należy powiedzieć komplement, że pyszne miejsce wybrali na swą ojczyznę. Patrząc na Assyrię łatwiej zrozumieć dlaczego tutaj właśnie rodzili się ludzie o twardych pięściach i twardych duszach. Pejzaż Assyrii nastraja akurat tyle do marzeń, co wybuch bomby do miłosnych gruchań.

Zielony i szeroki step. Z pod skąpej trawy szczerzą zęby białe grzebienie alabastru. Środek równiny przecięty wstęgą rzeki, szerokiej jak Wisła pod Sandomierzem, a wreszcie cały ten zielony rozłóg utworzony z jędrnej ziemi, mocny, dopraszający się wprost o tupot końskich kopyt, uderzających weń dźwięcznie jak w napiętą skórę na bębnie. Powtarzam: świeży, jasny i zdrowy rozłóg ujęty jest w biały twardy kołnierz z ośnieżonych, granitowych gór.

Kiedy świeci słońce nad niziutkim jeszcze, bo lutowym stepem, trzeba stanąć na szkarpie rzecznej i patrzeć poprzez wyspy na Tygrysie porośnięte zrudziałą gęstwiną drzew i krzewów, na których wiszą zwiędłe jesienne liście, trzeba patrzeć poprzez te wyspy, a następnie poprzez głęboką równinę, twardą jak klepisko /cudowny wybieg dla hulających po nim gazel/, aż ku górom Kurdystanu, aby odczuć tę ostrą, realną, mocną, jak skała rzeczywistość.

Wtedy chce się otworzyć ręce, sprężyć muskuły i oddychać balsamicznym stepem, surowym pejzażem i lapidarnym pięknem.

Tak wygląda Sparta Wschodu.

Ale pominąłem dotychczas jeden czynnik, który swym dotknięciem, samą swoją obecnością sprawia, że zielone assyryjskie rozłogi i stada owiec i Kurdowie, i my i szpaki ożywieni jesteśmy świeżym pobudzającym prądem.

To wiosna . . . Przyszła przedwczoraj. Nagle czymś zapachniało w powietrzu i od razu już wszyscy wiedzieli, że to ona. Nie było wątpliwości.

Właściwie nic się nie zmieniło. Nawet nie było cieplej. Tylko ziemia nagle zaczęła dyszeć jakimś wiotkim oparem bez zapachu, a jednak odurzającym, niewidocznym a przecież niemal dotykalnym. Odczuliśmy go, gdy konje kurdyjskie rozorywały step i tłuste cynobrowe skiby odwalały się z pod sochy.

Wtedy wszystko zaczęło wibrować w powietrzu, w nas samych, w całym otaczającym świecie. Z trawy ukazały się nagle mordki milionów żółtych kwiatów, szpaki zaczęły okropnie głośno ćwierkać i okazywać podniecenie. Jak ktoś określił "znalazły się w pogotowiu marszowym."

Najlepszym barometrem wiosny jest to ożywienie, które nas ogarnęło. Batalion bez żadnej komendy opuścił namioty i trzepie koce, aż uszy bolą słuchać, szpaki łażą między namiotami, a stary pies Homs wylazł ze sklepiku, gdzie spał pod ladą i przeciąga się na słońcu.

Redakcje w Bagdadzie zawalone są poezją. Przed chwilą przyniesiono do "Gońca Karpackiego" wiersz pod tytułem "Tęsknota."

* * *

Podobno dobry autor musi pisać nie to, co by sam pragnął, ale to czego chce czytelnik. Ponieważ każdemu wolno mieć ambicje literackie, więc i ja nie napiszę o Józefie Egipskim, o kronikarzu Chomie, o pułkowniku Walentym, o piłkarzach, o tresowanym wróblu, o karpackim patriotyźmie, ani nawet o "świerkach" . . . Napiszę za to jak płynie życie dywizji w Kurdystanie.

Nie podzielam zdania Broniewskiego, że "lepiej mieć na . . . nodze czyrak, niźli zamieszkiwać Irak." Uważam je za przesadę. Przede wszystkim żołnierz z Brygady Karpackiej polubił Wschód. Przez trzy lata koczownictwa w Syrii, Palestynie i Egipcie powstała pewna "sztama," która się wciąż zacieśnia.

Wytłumaczyć to trudno, łatwiej operować przykładem. W Aleksandrii pozostawiliśmy przyjaciół, do których możemy wrócić w doli i niedoli. Wystarczy się tam pokazać na ulicy w furażerce z orzełkiem, aby nieznajomi ciągnęli za rękawy, aby za żołnierza na urlopie, pijącego kieliszek whisky w knajpce ktoś obcy dyskretnie regulował rachunek. W Syrii wciąż jeszcze czekają, czy nie wrócimy do Bloudanu i Damaszku.

Tutaj też od razu wytworzyły się dobre stosunki. Kurdów lubimy, sympatia ta nie wywołuje zazwyczaj złych następstw, jeśli się pamięta, że żadna siła nie powstrzyma Kurda od kradzieży konia, broni i amunicji. Wobec tego pilnujemy się i przyjaźń kwitnie. Na naszym obozie narciarskim w górach, dzieci kurdyjskie po raz pierwszy od stworzenia świata uczą się jeździć na nartach, a nasi chłopcy uczą kurdyjskich wyrostków, jak się ten sprzęt fabrykuje. Pierwszy raz, gdy przyjechaliśmy na rekonesans do Rayat, przypięliśmy deski i zjechali szusując w dół, patrzono na żołnierzy ze świerkiem, jak na czarnoksiężników z bajki.

W rezultacie możecie spotkać we Wschodnim Kurdystanie kopę Kurdów, którzy uzasadnią wam szczegółowo, dlaczego Polska zrobiła słusznie, że nie oddała Gdańska. Któregoś dnia zgłosił się do redakcji "Kuriera Polskiego w Bagdadzie" szeik kurdyjski z oznajmieniem że kupuje pismo wraz z personelem i drukarnią, aby przenieść je do swego miasta i zrobić nam upominek.

Na czym polega ta sztama żołnierza karpackiego ze Wschodem? Ograniczę się do własnego przypuszczenia. Żołnierz Brygady w swej włóczędze stał się stoikiem. Niczemu się nie dziwi, podchodzi do wypadków i ludzi z uśmiechem. Przez to stał się tolerancyjny i uprzejmy. Oto wszystko.

Jest w Dywizji spora gromada takich, co polubili włóczęgę. Nieraz to aż skóra cierpnie, kiedy pomyśleć, co my z sobą poczniemy, kiedy wrócimy do chałupy? Same cygany, przelotne ptaki — jak my wdrożymy się z powrotem do codziennego kieratu, jak długo wytrzymamy bez gwiazd nad pustynią, bez łopotu płóciennych ścian kołyszących do snu?

—Co robisz po wojnie?

—Rzucam się na handel. Nauczyłem się po angielsku. Będę kupował i sprzedawał, jeździł po świecie i jakoś wyżyję. A ty?

—Nie wiem. Mam żonę, dzieci, dom, ale czy ja tam długo wytrzymam bez setki na Dodge'u, bez słońca w zimie, bez przygody?

Przydałyby się kolonie zamorskie dla karpackich żołnierzy. Wielu z nas zostało by w nich, aby mieć i słońce i "kawalerską jazdę" na samochodzie, którą tak nam wypominają, a którą tak lubimy i ten szeroki oddech wielkiej przygody, bez której ciężko żyć.

Ale są tacy /i tych jest więcej/ co tęsknią do powrotu, zacisza, domku z ogródkiem i spokojnego życia. Tym zazdrościmy. Będą na pewno szczęśliwsi . . .

* * *

Życie w Assyrii ma swój urok i ramy majestatycznej przyrody. Trzeba jednak umieć budować je od przyciesi. Tej sztuki nauczyliśmy się całkiem nieźle. Kiedy wyjedziemy stąd, pozostanie po nas miasto z kamienia. Rejony batalionów poprzecinane są bitymi drogami, namioty obmurowane; sklepiki, kasyna, świetlice — to autentyczne domy wzniesione rękami żołnierzy.

Wiodąc życie nomadów, ludzi wędrownych, umyślnie stroimy się we wszystkie akcesoria osiadłego społeczeństwa, w rozbrajającej ambicji, aby na przekór wszelkim przeciwnościom z niczego nie rezygnować, niczego, cośmy mieli w domu się nie wyrzec.

Dlatego też pewnie, choć brak aktorów i sceny — mamy teatr, choć brak książek i czasopism — są biblioteki i czytelnie, choć nie mamy Baedeckerów, żołnierz gromadzi z pasją wiadomości o Niniwie, Khorsabadzie, czcicielach diabła, Kurdach etc., etc.

Poszliśmy nieco za wysokim szlakiem w obawie, aby nie spaść za nisko.

Dzień mija na zajęciach żołnierskich, W garnizonach są domy żołnierza, jest kilka kin. Żołnierze nauczyli się po angielsku, niektórzy mówią po arabsku. Zawarto wiele przyjaźni. Strzelcy z RAF'u i strzelcy z brygad utrzymują z sobą stosunki towarzyskie, chodzą razem na herbatę i dżin, wymieniają fotografie.

Tak żyje dywizja na zimowych leżach. Czy dla obrazu całości należy wspominać o naszym duchu bojowym, o tym, że pilno nam na front, że niejednego świerzbi już ręka, aby wypróbować broń, w którą nas wyposażono?

Darujmy sobie ten rozdział. Dywizja Karpacka ma poniekąd prawo niepisania na ten temat. Tym bardziej, że w czwartym roku wojny wielkie słowa są już męczące . . .

O czym jeszcze pisać? Prawda, o szpakach! Gotują się już do odlotu. Patrząc na tych przelotnych towarzyszy postoju, wierzymy w skrytości, że podążymy wkrótce za nimi, tym samym szlakiem.

O tym właśnie chciałem napisać, na ostatku . . .

WITOLD DOMAŃSKI

Sukcesy w Bagdadzie

Bagdad, w końcu stycznia

Nigdy jeszcze, póki Bagdad Bagdadem, reprezentacyjny stadion sportowy tego miasta nie widział ani w przybliżeniu takich tłumów, jak te, które zaległy go 24-go b.m., aby ujrzeć mecz piłki nożnej między reprezentacjami armii polskiej i brytyjskiej. Przez cały tydzień poprzedzający mecz nie mówiono w Bagdadzie o niczym innym. Na drugi plan zeszły nawet . . . wydarzenia wojenne. Robiono wysokie zakłady. Omawiano składy obu drużyn. Prasa miejscowa, zarówno polska /w Bagdadzie wychodzi przecież obecnie polski tygodnik i dziennik/, jak angielska i arabska, poświęcała temu wydarzeniu sportowemu całe szpalty.

W dniu meczu, od samego rana, miasto przybrało prawdziwie niezwykły wygląd. Przez ulice trudno się było wprost przecisnąć. Z różnych stron kraju przybyły setki samochodów ciężarowych, naładowanych żołnierzami polskimi i brytyjskimi. Sekundowały im dzielnie liczne wozy osobowe. Zakorkowanie wąskich ulic bagdadzkich było iście rekordowe. Niewiele pomogły napisy orientacyjne, porozmieszczane na głównych ulicach, ani liczna żandarmeria polska i angielska. W powietrzu jasnego, słonecznego, niedzielnego dnia czuło się "wielkie wydarzenie."

Już na godzinę przed rozpoczęciem meczu stadion był przepełniony. Przeważają, oczywiście, mundury. Burza oklasków wita obie drużyny, wybiegające na boisko. Polacy w czerwonych koszulkach z Białymi Orłami, Anglicy — w barwach czerwono-niebieskich. W drużynie polskiej: Gierula /bramkarz/, Kasina, Hoenig, Filipski, Wiśniewski, Bulka, Borowski, Kidacki, Szewczyk, Hodur i Habowski. W drużynie angielskiej: Nelson /bramkarz/, Cunliffe, Weeks, Boulton, Hill, Wood, White, Lytham, Bridge, Garbut i Leech.

Z dostojników pierwszy przybył na stadion dowódca Armii Polskiej na Wschodzie, generał Wł. Anders. Zaraz po nim pojawił się dowódca Brytyjskiej Armii Persji i Iraku, generał Wilson wraz z ambasadorem brytyjskim, p. Cornwalis. Irackim hymnem narodowym powitano przybywającego Regenta. Jego Królewska Wysokość wraz z dowódcami armii i ambasadorem brytyjskim oraz ministrami irackimi zajęli miejsca w loży królewskiej. Po chwili Regent wraz z generałami zeszedł, aby odbyć przegląd drużyn. Zaraz po ich powrocie rozpoczął się mecz.

Przez całe półtorej godziny oglądaliśmy grę piękną, elegancką, na wskróś sportową, jednakże przewaga drużyny polskiej była przez cały czas meczu bezapelacyjna. Niektórzy Anglicy grali bardzo dobrze, śliczne były zwłaszcza ich kombinacje głową, ale nie było u nich zgrania, brakowało gry zespołowej w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Drużyna polska za to, zwłaszcza w drugiej połowie meczu, grała wprost koncertowo. Bramkarz nasz, Gierula, który w pierwszej połowie pięknie obronił kilka niebezpiecznych strzałów /zwłaszcza mistrzowska obrona karnego/, w drugiej — nie miał nic do roboty, gdyż gra odbywała się niemal wyłącznie na angielskiej połowie boiska. To też ostateczny wynik meczu — 4:0 dla Polski /do przerwy — 2:0/ uznać trzeba za zupełnie sprawiedliwy i wiernie odzwierciadlający stosunek sił obu drużyn.

W swym sprawozdaniu z meczu tutejszy dziennik angielski, "*The Irak Times,*" pisał: "Największe tłumy, jakich spodziewać się było można na jakichkolwiek zawodach sportowych w Bagdadzie, oglądały lekcję piłki nożnej, daną Brytyjczykom przez zespół lepszy pod każdym względem. Tylko bardzo rzadko piłka bywała po polskiej stronie, ale nawet wtedy atak brytyjski nie zagrażał poważnie wspaniałej polskiej obronie realnym niebezpieczeństwem. Kombinacje Polaków sprawiały przyjemność widzom, a chwilami obrona brytyjska była zupełnie zdezorientowana. Bramki były wynikiem doskonałej pracy zespołowej, a styl gry Polaków przypominał świetne drużyny szkockie."

"Był to pamiętny dzień" — pisał po zawodach bagdadzki "Kurier Polski." — "Niezapomniany dla tych wszystkich, którzy w niedzielę, na stadionie bagdadzkim, oglądali zwycięstwo piłkarzy Białego Orła.

. . . Przewaga Polaków była bezsporna, a chwilami przygniatająca . . . Ostatni kwadrans meczu stanowił wspaniały pokaz gry zespołowej, zademonstrowanej przez drużynę z Białym Orłem . . ."

Kierownik drużyny brytyjskiej, major Welch, oświadczył po zawodach: "Byliście lepsi i wygraliście zasłużenie. Daliście nam lekcję wiedeńskiego footballu, jakiej dawno już nie oglądaliśmy. Cała wasza drużyna grała bez zarzutu. Zaś sędzia zawodów, Anglik, p. Reynolds, w takich słowach scharakteryzował mecz: "Stwierdzam z przyjemnością niezwykle czystą grę obu drużyn. Sędziowanie takiego meczu może dać tylko satysfakcję. Posiadaliście zupełną wyższość, graliście celowo i z finezją."

W cztery dni później, na tymże samym stadionie, rozegrany został drugi mecz międzynarodowy, tym razem między reprezentacją Armii Polskiej i Irakiem. Stadion zaległy znowu nieprzebrane tłumy publiczności. Z loży królewskiej przyglądał się zawodom Regent Iraku oraz generał Anders. Mecz zakończył się wynikiem 6:1 dla Polski. Irakczycy grali dobrze, ale, jak to słusznie podkreślił po drugim meczu "*The Irak Times,*" "trzebaby znaleźć naprawdę pierwszorzędny zespół, aby pobić tę jedenastkę polskich gwiazd piłkarskich."

ROMAN FAJANS

Polskie "in which we serve"

Żywot O.R.P. "Kujawiak"

Kina angielskie i amerykańskie obiega z niesłabnącym powodzeniem prawie od pół roku film "*In which we serve*" /okręt, na którym służymy/. Jest to historia kontrtorpedowca brytyjskiego i jego załogi, od dnia spuszczenia na wodę do dnia zatonięcia w bohaterskiej walce pod Kretą. Film jest potężny w swej pełnej prawdy grozie i bije zeń, bez emfazy, cały ogrom walki o panowanie na morzach, które — mimo strat, a właśnie dzięki poświęceniu i poczuciu obowiązku załóg okrętowych — pozostaje niezmiennie w rękach Wielkiej Brytanii.

Tu jednak nie będzie mowy o filmie; stawiamy przed oczy czytelnika — polskie "*In which we serve*," wzięte prosto z życia. Z życia jednego polskiego okrętu, życia krótkiego, bo zaledwie rok trwającego, ale jak znamiennie świadczącego o nieprzerwanej a zawziętej walce, którą polscy marynarze wiodą "za waszą wolność i naszą"...



Załoga "Kujawiaka"

Okręt Rzeczypospolitej Polskiej "Kujawiak" narodził się w polskiej Marynarce Wojennej 30 maja 1941 roku, jako nowiuteńki kontrtorpedowiec mniejszych rozmiarów, zbudowany w znanej stoczni brytyjskiej.

Już w okresie szkolenia kontradmirał, dowódca kontrtorpedowców "*Home Fleet*" pisał o nim:

—"Zaszczytem było szkolić te okręty /"Kujawiak" i "Krakowiak"/, chociażby ze względu na wielką gorliwość i zapał personelu, oraz być świadkiem osiągniętych wyników. Okręty są wyjątkowo czyste, a zalety morskie ich załóg godne podziwu. Wykonanie zadań ćwiczebnych powyżej przeciętnej."

—"Wygląd okrętu i sprawność załogi rzuca się w oczy. Winszuję panu"—sygnalizował jeden z czołowych admirałów brytyjskich — Sir Charles Forbes, bohater jeszcze z poprzedniej wojny.

Niebawem "Kujawiak" rozpoczął swą ciężką i monotonną służbę — osłony i eskorty. Od Nord-Capu do Malty znano dobrze jego skromną, ale bojową sylwetkę.

W grudniu 1941, pospołu z "Krakowiakiem" brał udział w raidzie na Lofoty. Dwukrotnie ostrzegł pancernik brytyjski przed niebezpieczeństwem, ocalił wielki transportowiec przed miną, sprowadził zbłąkany ropowiec i... ogniem swych dział odparł nalot! Pospołu ze swymi "brytyjskimi i norweskimi kolegami" zatopił kanonierkę i zestrzelił samolot. Dowódca zespołu wyraził mu swe uznanie, co potwierdził później własną pochwałą Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej wiceadmirał Świrski.

W lutym 1942, tuż przed słynnym przerwaniem się liniowych okrętów niemieckich z Brestu do Kielu i... Gdyni, "Kujawiak" patrolował nocą w trudnym przejściu między wyspą Alderney a przylądkiem La Hague, u wybrzeża Francji. Cieśnina ta, zwana Raz Blanchard, jest nawet w czasie pokoju bardzo trudna do nawigacji, ze względu na silne prądy i liczne skały podwodne. "Kujawiak" wraz z jednym kontrtorpedowcem brytyjskim — wpłynął na te niebezpieczne wody i mimo ognia baterii nadbrzeżnych, zatopił dwa transportowce niemieckie. Trzeci został zatopiony przez Anglików. Eskorta konwoju uciekła przed ogniem sprzymierzonych okrętów.

W marcu nowy sygnał admirała Forbes'a: "Doskonała robota." — Nic dziwnego: "Kujawiak" obronił eskortowany konwój przed piętnastu nalotami, zestrzeliwując "Junkersa 88," a uszkadzając dwa inne. Ogień okrętu był tak "gorący," że celowniczowie porozbierali się do koszul, mimo iż marzec na Atlantyku północnym bywa raczej mroźny.

I dalej trwała "praca codzienna," przeplatana alarmami bojowymi: Kanał La Manche, okolice St. Nazaire, Atlantyk. Aż wreszcie nastał dzień nagrody. 4 czerwca 1942 r. Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych odwiedził okręt, wręczając zasłużonym 4 Krzyże Virtuti Militari i 37 Krzyży Walecznych. A oto jego słowa:

"Pamiętam i zawsze będę pamiętał, że była taka chwila najcięższa dla Polski, kiedy wy byliście jedynym zbrojnym ramieniem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i gdy na pokładzie waszych okrętów schroniła się Jej suwerenność... O czynach Polskiej Marynarki Wojennej pamiętać będzie zawsze Polska, zapisze je złotymi głoskami historia"...

Generał Sikorski dał tu nie tylko wyraz uczuciom, które każdy rozumny i dobry Polak podziela, ale też podkreślił właściwe znaczenie Marynarki Wojennej w życiu Państwa i Narodu. Nic dziwnego — gen. Sikorski zawsze doceniał to znaczenie i nie ograniczał się w sprawach obrony morskiej do banalnych sentymentów czy frazesów. Z jego ust padły, po otwarciu wyższej Szkoły Wojennej w Anglii, znamienne słowa:

"Marynarka Wojenna jest w wojnie nowoczesnej czynnikiem tak ważnym, że interesować się nią musi każdy oficer, bez względu na rodzaj broni... Bez silnej marynarki nie ma silnego państwa."

Tegoż 4 czerwca "Kujawiak" wyruszył w długą i niebezpieczną podróż na Morze Śródziemne, eskortując ważny konwój z zaopatrzeniem dla Malty. Miała to być jego podróż ostatnia.

14 czerwca rozpoczęły się naloty nieprzyjacielskie. Trwały. — z małymi przerwami — dwa dni i dwie noce. 90 samolotów atakowało konwój, a nadto ścigały go włoskie okręty nawodne i podwodne. Nieprzyjaciel zawziął się, że nie dopuści konwoju do Malty.

Ale celny ogień eskorty strąca zaraz w pierwszym dniu 13 samolotów. Po czym kontrtorpedowce — w tym oczywiście i "Kujawiak" — atakują trzykrotnie silniejszego nieprzyjaciela nawodnego. W pewnej chwili "Kujawiak" walczy z krążownikiem włoskim. Włosi sromotnie się wycofują.

Następnego dnia — pospołu z lotnictwem towarzyszącym — zestrzelono 11 samolotów. Konwój dochodzi już do Malty i niebawem zawija do portu. Kontrtorpedowce pozostają na zewnątrz — jako patrol osłony.

I oto 16 czerwca 1942 r. o g. 0.53 pod lewą burtą "Kujawiaka" wybucha nieprzyjacielska mina. Akurat w chwili gdy okręt robi zwrot dla ratowania brytyjskiego kontrtorpedowca, którego spotkał taki sam los. Mimo pożaru i 35° przechyłu, załoga walczy z niebezpieczeństwem. Pragnie za wszelką cenę uratować okręt.

Wysiłki są daremne. O g. 1.08 dowódca wydaje rozkaz opuszczenia okrętu. Sam jednak zostaje i dopiero bosman z jednym marynarzem ratują go w chwili, gdy "Kujawiak," z banderą na rożcu, pogrąża się w morzu. O g. 1.20 okręt Rzeczypospolitej "Kujawiak" zawija do przystani Neptuna... a wraz z nim 13 dobrych marynarzy. Resztę ratują, z poświęceniem krążąc wśród pola minowego, okręty brytyjskie.

Ale marynarze polscy — to ludzie twardzi. Jeszcze tegoż dnia odpłynęli z Malty, by przejść na inne polskie okręty i walczyć dalej. A pierwszy Lord Morza — admirał floty Dudley Pound — telegrafował do wice-admirała Świrskiego:

"Pragnę przesłać panu Admirałowi wyrazy szczerego współczucia, oraz wyrazić uznanie dla wysokiej sprawności i wybitnych zalet bojowych, jakie Polska Marynarka Wojenna wykazała, pełniąc swe trudne i niebezpieczne obowiązki."

A oto krótki bilans z życia O.R.P. "Kujawiak":

Okręt żył 381 dni, z czego 223 spędził na otwartym morzu. Przepłynął 32.000 mil morskich, to jest 60.000 kilometrów. Miał 15 zabitych i 12 rannych. Zatopił samodzielnie 2 transportowce i strącił 5 samolotów z pewnością, a 3 prawdopodobnie. Przeprowadził 73 konwoje i miał w ich czasie 13 akcji bojowych oraz 112 alarmów przeciwlotniczych. Brał udział w 5 operacjach bojowych na większą skalę. Rozstrzelał 16 min. Dwa razy walczył z okrętami podwodnymi i dwa razy z nadbrzeżnymi bateriami nieprzyjaciela. Jego załoga — walczy dziś dalej na nowym, jeszcze piękniejszym i silniejszym okręcie...

Ad maiorem Patriae gloriam — ku większej sławie Ojczyzny...

JULIAN GINSBERT

Jedna doba na "Błyskawicy"

Ostatnie mrugania reflektorów — alarm manewrowy, odkotwiczenie... wychodzimy w morze pełni radości, bo przeczuwamy jakąś nową, niezwykłą robotę. Port zostaje w mroku nocy.

Dowódca w krótkich słowach wyjaśnia czekającą nas pracę... Przypadło nam wzięcie czynnego udziału w walkach o Afrykę, a tym samym o zupełne opanowanie strefy Morza Śródziemnego. Płyniemy w szyku bojowym na wschód!

Zbliżając się do lądu afrykańskiego spotykamy coraz częściej samoloty i łodzie nieprzyjacielskie. Zmuszamy je zawsze do zmiany wybranego kursu. Nasza artyleria i bomby głębinowe robią swoje!...

Mija tak kilka dni i wszystko dobrze się zapowiada... Nadchodzi pamiętny dla nas dzień, kiedy to znużeni i przemęczeni ciągłymi alarmami i walką, zbliżamy się o wschodzie słońca do jednego z portów francuskich w Afryce. Dzień zapowiada się pogodnie, napełniając nas ufnością i wiarą w swe siły.

O godzinie 6-tej rano, ogłoszono alarm bojowy. Zjawia się kilkanaście wrogich samolotów, robi się gorąco, ale zmuszamy nieprzyjaciela do zrzucenia swych ładunków na chybił-trafił i do ucieczki.

Na razie "odbój." Opuszczamy stanowiska przy działach bojowych, nie mając dotychczas żadnych strat. Na twarzach widać zadowolenie.

Korzystając z chwili spokoju, idziemy uzupełnić stan paliwa i przygotować amunicję. Nic nie zapowiada pracy...

Nagle klakson okrętowy zawył przeraźliwie dobrze znaną nam nutą, podrywając wszystkich. Pojawia się nieprzyjacielski okręt podwodny. Mając z nim kontakt, przechodzimy z miejsca do ataku, witamy go bombami głębinowymi. Fontanny wody biją w górę, lecz nie widzimy rezultatów rozpoczętego dzieła — obserwatorzy przeciwlotniczy meldują zbliżające się samoloty.

—"Znamy ten system! Zespołowy atak okrętów i samolotów"!

Niebo, pokryte lekkimi chmurami, stwarza wspaniałe okoliczności dla samolotów. Zegar wskazuje godzinę dziewiątą trzydzieści. Jesteśmy głodni i niewyspani.

Dowódca spokojnym głosem wydaje rozkazy z pomostu bojowego. Strzelamy z wszystkich dział i broni maszynowej. W górze nad nami, piekło!

Wszyscy pracują! Sternik szybko wykonuje rozkazy, w prawo, to w lewo na burt, maszyniści pocą się nad ciągłymi zmianami szybkości, artyleria bije bez przerwy, inni donoszą amunicję do dział, a wszystko to dzieje się szybko i sprawnie, bo każda stracona sekunda to zguba!

Widzimy wszyscy, że jesteśmy dziś głównym celem atakującego nieprzyjaciela. Bomby padają jedna po drugiej, a odłamki pryskają dokoła jak groch. Nieprzyjaciel jest silny — bombowce wypadają falami jak kruki zza skalistego wybrzeża.

Nie wiemy czy to Niemcy czy Włosi, ale nas to i tak już nie interesuje. Jedyna myśl: odpędzić nalatującego i nurkującego nieprzyjaciela, wykonać sprawnie nakazany manewr.

Atakuje nas równocześnie kilka samolotów. Spokojny rozkaz dowódcy! — "Cała naprzód, prawo na burt"! — a po chwili ogłuszający huk i silny wstrząs! Bomby tuż po prawej burcie na rufie!...

Ponosimy pierwsze straty. Oddział ratunkowy znosi coraz to nowe ofiary... Lekarz okrętowy uwija się nad robieniem natychmiastowych operacyj.

Wolne miejsca przy działach zostają szybko i bez paniki zastąpione przez kolegów innych specjalności. Walka trwa nadal.

Jedno z dział ma lufy wzniesione ku niebu — milczy. Cała obsługa wybita.

Maszyniści i elektrotechnicy niektórzy ciężko ranni, nie opuszczają wyznaczonych stanowisk, usuwając szybko uszkodzenia. Pomimo poniesionych strat ogień nasz ciągle razi nieprzyjaciela, nadlatującego fala za falą.

Mija piąta godzina walki — nalot się kończy. Wchodzimy do portu, by oddać ciężko rannych opiece szpitalnej.

Cisza jednak nie trwa długo. Piętnaście "Junkersów" wylatuje zza skały. Działa rozpoczynają swą pieśń bojową, krwawą pieśń zwycięstwa dla tych, którzy życie oddali w obronie bandery!

Przy burcie pada nowa seria bomb. Okrętem zakołysało, prądnica stanęła, wentylatory nie chodzą, w maszynach temperatura dochodzi do 70° C.

Sprawdzamy i usuwamy uszkodzenia. W burcie mamy cały szereg dziur, a w niektórych miejscach okręt wygląda jak sito.

Wychodzimy jednak w morze, idąc na dwie zmiany, głodni i wyczerpani.

O zachodzie słońca odbywa się pogrzeb poległych w walce kolegów. Bandera opada do połowy, dowódca salutuje z pomostu, my stoimy na baczność. Zwłoki leżą pokryte banderami, później zostają spuszczone w głębiny morskie, powiększając na dnie mórz i oceanów Cmentarz Marynarzy Polskich.

Biały Orzeł wzbija się w górę, a my płyniemy wciąż dalej i dalej, żeby po usunięciu uszkodzeń być w gotowości do dalszych trudów i walk, bo tylko przez ofiary, krew i trud wiedzie droga do Wolnej Ojczyzny.

Rufy "Błyskawicy," "Gromu" i "Burzy"



TADEUSZ NOWICKI

Bez black-outu

To kiedyś właśnie ten sam felieton był winien, że nazwano mnie wrogiem kobiet nr. 1. Nie będę wracał do tych starych spraw, nie pamiętam tych spojrzeń, przeszywających i okrutnych, którymi ścigały mnie czasem bardzo piękne oczy błękitne, jak polskie niebo, czasem czarne, jak węgiel. Był błysk w tych oczach, czasem były gorzkie wymówki. Nieporozumienie trwało dość długo, i jak to zwykle przekornie w życiu bywa, najwięcej żalu czuły te panie, do których zarzuty felietonu wcale się nie odnosiły.

Ale spuśćmy blackout na owe spóźnione "aktualności." Sprawa "kobieca" została częściowo rozwiązana przez wypadki wojenne. Życie, jak zwykle, przyniosło najlepszy pomysł. Stworzono w Wielkiej Brytanii zapowiadaną oddawna Pomocniczą Służbę Kobiet. Zaczęło się po polsku: więc najpierw posypały się żarty więcej lub mniej dowcipne, po tym jedni byli za, drudzy przeciw, wreszcie sprawa, jako sensacja dnia umilkła i zaczęła się praca, codzienna praca. Ściągnęły ze Wschodu transporty pierwszych "Pestek." Nazwa, choć niepiękna, przylgnęła, stała się popularna, przeszła nawet w biurokrację, w akta i papierki. Więc są "Pestki." Obojętnie, jak rzecz się nazywa, najważniejsze bodaj jak wygląda od wewnątrz. Bywały np. takie piękne nazwy ministerstw, a w środku nawet pestki nie było, tylko sama . . . lipa.

To jedno mogę stwierdzić z czystym sumieniem: w "Pestkach" lipy nie ma. Kto zna pewną kobietę /a zna ją bardzo wielu żołnierzy w Szkocji, którym cerowała skarpetki/ kto zna, powiadam, panią Marutę, stojącą dziś na czele P.S.W.K., ten wierzy, tak jak ja, że robota jest uczciwa, rzetelna. Niechże mi ona tego nie weźmie za komplement, a Wy Drodzy Koledzy i miłe "Pestki" za objaw "kadzenia," ale naprawdę nie mogę źle pisać o osobie, będącej jedyną władzą wojskową polską na terenie Wielkiej Brytanii, o której "Wiadomości Polskie" wyraziły się pochlebnie, a sam Zygmunt rozśpiewał się w hymnie pochwalnym. Więc, uważacie — coś musi być "na rzeczy." Opozycja czasem ma rację . . .

Byłem kilka razy w tym obozie w Szkocji, gdzie dla obecnej i przyszłej armii polskiej najlepsi instruktorzy i fachowe polskie drużynowe /a jakże, mamy takie/ szykują prawdziwą polską "pestkówkę" w najlepszym gatunku — bez zalewania. Ostatni raz byłem dzisiaj. Wróciłem przed chwilą i piszę mój felieton tygodniowy pod wrażeniem tej wizyty.

Właściwie stało się to, czegośmy wszyscy bardzo pragnęli. Na trawie przy tarczach strzelniczych, w czasie ćwiczeń w marszu, w sali wykładowej, spotkałem wiele, bardzo wiele znajomych pań z polskiej emigracji cywilnej w Wielkiej Brytanii. Przyszły porzuciwszy biura, czasem role małżonek dostojnych mężów, inne wstały może prosto od kominka szkockiego, o co toczyliśmy bój. Jeżeli była wśród tych pań, pilnie kontrolujących "trójkąt błędów" jakaś dawna pani Nicnieróbska, której robiliśmy wyrzuty — niech przyjmie nasze gorące słowa radości.

Stała się rzecz ważna: wśród ćwiczących i zaprawiających się do dalszej służby ochotniczek pierwszego kursu polskich "Wafek," spotkaliśmy tym razem znacznie mniejszy procent kobiet przybyłych z Rosji, które mimo tylu cierpień spełniły i spełniają obowiązek obywatelski. Mimo ran w nogach maszerują. Przewagę stanowiły tym razem panie Polki z terenu Wielkiej Brytanii. Następny kurs zapowiada się procentowo jeszcze lepiej. To bardzo pocieszające.

Nie wiem, jak dla kogo, ale mnie jest to niesłychanie radosne tym więcej, że naprawdę, patrząc kilka godzin na ich pracę, powiedziałem — choć nie jestem znawcą — szczerze i pod wrażeniem: "To jest nie tylko piękne, ale i dobre wojsko." A ponieważ zgodził się z tym poważny instruktor męski w stopniu porucznika i w tym samym stopniu przemiły komendant żeński obozu, więc widocznie miałem rację z punktu widzenia "militarnego." Nawet doświadczony "szef Halina" uroczy wychowawca wszystkich dotychczasowych kursów przytakiwała poważnie i po męsku, choć z prawdziwym wdziękiem.

Patrzyłem długo z daleka w zamyśleniu na musztrę, wsłuchiwałem się w basowe głosy dwóch sierżantów-instruktorów, podających komendy, w cieniutkie głosiki drużynowych żeńskich, manewrujących między szeregami, podziwiałem takt i spokój kierowników oraz niesłychane skupienie ochotniczek. I przejąłem się ogólną powagą, jaka towarzyszyła tej pracy. Słusznie instruktor mówił z entuzjazmem o wielkiej ambicji i rzadko spotykanej pilności ochotniczek, jako o dwóch podstawowych elementach szkolenia, charakteryzujących pracę kobiety polskiej w P.S.W.K.

Marzeniem każdej z ochotniczek, daj Boże osiągalnym, jest skromne życzenie, by żaden z Polaków, a już koniecznie żaden z żołnierzy, nie lekceważył jej służby, nie śmiał się z jej munduru. Słusznie. Mundur jest ten sam, a służba ma cel jasny i wyraźny: pomóc żołnierzowi armii lądowej, lotnikowi, a wkrótce marynarzowi /tworzą się polskie "Wrenki"/, w przyszłości pomóc w pierwszych trudnych początkach odbudowywania sił zbrojnych w wolnej Ojczyźnie.

Mogę zapewnić ochotniczki, że "wróg kobiet nr. 1." nie śmiał się dzisiaj w czasie oglądania ich pracy. Coraz mniej będzie tego śmiechu, bo to byłoby głupie. Trzy lata bowiem pobytu w Wielkiej Brytanii wpoiły w nas chyba głęboką wiarę w to, że mobilizacja całego społeczeństwa w wojnie jest połową zwycięstwa. Wystarczy przykład kobiet brytyjskich, pracujących w fabrykach przemysłu wojennego, wystarczy przykład A.T.S.'u, czy W.A.A.F.'u czy W.R.E.N.'u. Wysoka kultura Brytyjczyków nie pozwala dopatrywać się w pracy umundurowanych kobiet niczego śmiesznego.

Jeżeli chcemy się koniecznie śmiać, to pośmiejmy się z tych, niewielu już chyba, polskich pań, które tkwią jeszcze bezczynnie przed kominkami biletingowymi, a duchem i przekonaniami w ubiegłej epoce przedwojennej. Tego rodzaju typy wyobrażają sobie ciągle obóz "Pestek" jako beznadziejność koszar z gołymi deskami na noc a sekaturą "drillu" na dzień. Proponuję komendantce Marucie, aby zorganizowała cywilne wycieczki kobiece do tego miłego, schludnego domu, w kwietnym parku, "somewhere in Scotland," by pochwaliła się czystymi pokoikami na kilka osób z przywoitymi łóżkami, niech pokaże te czyste umywalnie, wanny, jasny pokój rekreacyjny z wygodnymi fotelami — a to wszystko celem "odczynienia" czarów koszarowych, których urok trwa.

Oczywiście niech nikt nie oczekuje zbytku i wyszukanego komfortu, ale na pewno jest tam czysto, przyjemnie, wygodnie. Jeżeli to może przydać się na coś, to z ochotą stwierdzam, że wikt jest nie tylko polski, ale i smaczny, a kuchnia, prowadzona przez dyżurne "Pestki" przy pomocy jednej siły fachowej. Więc i obawa o utratę siły witalnej odpada. Wydaje mi się, że myśl wycieczki "Pestkoznawczej" jest najlepsza i zapewni na przyszłość pomyślną rekrutację ochotniczek.

Ktokolwiek przyjedzie ulegnie na pewno temu samemu wzruszeniu; niechno tylko zobaczy taki oddziałek Polek, w zgrabnych mundurach, ćwiczący sprawnie na szkockim trawniku, niech tylko padnie komenda "Do przysięgi," niech zerwą się jednym ruchem czapki z głów, niech wiatr rozwieje czarne i blond włosy nad jasnym czołem — a choćby to było tylko ćwiczenie przed uroczystością — serce uraduje się tym widokiem i przemknie jak błyskawica częsta myśl, codzienna: — "Eh, żeby to tak nasi w Polsce widzieli . . ."

Zobaczą. Na defiladzie zwycięstwa będą szły zastępy ochotniczek polskiej Pomocniczej Służby Kobiet, po dokonaniu zadania wojennego, a do spełnienia nowych obowiązków w wolnej Polsce. I nikt nie będzie się śmiał z tych mundurów. Będą ludziska płakali — z radości.

WIKTOR BUDZYŃSKI

WŁOSKI BUCIK

Na ten bucik, Panie Generale,
Potrzeba siedmiu kuponów.
Generał mruknął: — Wspaniale,
Nie pójdę po kupony do domu —

—My z wysp i fellows z dominiów,
Amerykanie, Francuzi — to cztery,
Piąty — RAF, szósty — Navy
A siódmy ja — Montgomery.

ZET-EŁ

Skrzynka pocztowa

O ŻYCZLIWOŚĆ WZAJEMNĄ

Szanowny Panie Redaktorze,

Chciałbym zwrócić uwagę na pewne zagadnienie szczególnie często spotykane w życiu codziennym, które daje ludziom wiele do myślenia, mianowicie chcę tutaj poruszyć sprawę uprzejmości, lub raczej "*friendliness*" /przyjacielskość/, jak Anglik by to nazwał — wśród Polaków.

Przed wojną żyłem przez pewien czas zagranicą. Doświadczenia nauczyły mnie cenić kraj w sposób mało dostępny dla tych, którzy w nim żyli. Zbyteczną jest chyba powiedzieć, że dla Polaka żyjącego zagranicą każde zetknięcie z czymś polskim, z przypadkowo spotkanym rodakiem, gazetą czy napisem polskim urastało do wielkiego zdarzenia; każdy Polak był krewnym, bliskim. Jeżeli rozpatrzeć zachowanie się rodaków z kraju, zapytać, czy wykazywali zrozumienie dla tej postawy i czy odwzajemniali się odpowiednio, trzeba by niestety stwierdzić, że raczej nie. Cóż, dla nich Polak Polakiem, interes interesem, a jakiś patriotycznie przeczulony rodak zagranicą — najwyżej zawracaniem głowy. A szkoda, bo nie ma chyba lepszego sposobu podkreślenia solidarności narodowej, niż odwzajemnianie się w uczuciach tym, którzy zachowują dla naszego kraju tak głęboki sentyment i to bez względu na szczególne warunki życia. Jeżeli należy tę wzajemność zalecać względem obcych, dlaczego nie stosować tej wobec swoich?

Ciekawa rzecz. W toku mojego dość bogatego doświadczenia w życiu towarzyskim i zbiorowym z przedstawicielami najrozmaitszych narodowości, nigdy nie spotkałem wśród Polaków ludzi zbiorowo tak sobie na śmierć i życie oddanych, jak Hiszpanie /bez względu na stanowisko czy warunki/, tak tylko o siebie i swoich dbających, jak Anglicy /zagranicą/, tak mistycznie przepojonych wiarą "*Vaterlandu*," jak Niemcy. Oczywiście w warunkach specjalnych, w armii lub niewoli te właściwości rozwijają się mimo woli, ale w cywilu Polak mówi: ten Pan jest moim znajomym, a tamtego nie znam, a ten to jakiś Żyd, a ów był stróżem i t.d. — zawsze jakiś powód do niezadowolenia lub podziału na "ja" i "ty," albo raczej na "my" i "wy." Co za głupota! Czy naprawdę te wszystkie rzeczy są ważniejsze od faktu należenia do jednej zbiorowości, jednej rodziny i jednego kraju?

Śmiem twierdzić, że dopóki nie wyrośniemy z tych dziecięcych właściwości i wad, nie będziemy nigdy mieli należytego poważania za granicą. Nie zamykajmy oczu na fakt, że mniejsze od nas narody, jak Czesi czy Grecy, miały przed wojną i może ciągle jeszcze mają większe poważanie, niż Polacy. Brak nam powagi i równowagi, brak zmysłu odpowiedzialności i zrozumienia czym kraj powinien być dla narodu i jakie jest jego znaczenie w świecie.

Teraz, kiedy każdy Polak jest potrosze emigrantem, kiedy każdy szuka polskości i byłoby więcej powodów po temu, niż kiedykolwiek indziej, aby czuć solidarność w stosunku do wszystkiego co polskie, ciągle się jeszcze spotyka tę sztywność w zetknięciach osobistych między nami. — Czemu nie pójdziesz do tego czy owego klubu czy stowarzyszenia ? — A, bo tam nikogo nie znam. — Czy to takie ważne?

Ostatnio zdarzyło mi sie, iż podszedł do mnie na ulicy jakiś przyjezdny Polak prosząc o jakieś wyjaśnienie, przy czym przeprosił mnie trzy czy cztery razy za tak bezceremonialne podejście. Czy było to aż tak nienaturalne? Jestem pewny, że gdyby to zaszło między dwoma Holendrami czy Belgami, obaj bez żadnych niepotrzebnych wstępów rozgadaliby się, może nawet odrazu na "ty," pomówiliby przy okazji o kraju, rodzinie i t.p.

Czytamy i doświadczamy często historyj z Polakami amerykańskimi, którzy ze wzruszającą miłością szukają towarzystwa Polaków z Polski i pytają o takie czy inne miejsca, których nigdy nie widzieli. Czy zastanowiliśmy się kiedykolwiek, czy "krajowcy" byliby kiedykolwiek zdolni do takiej postawy i uczuć wobec kraju i współziomków?

Więcej jeszcze. W tej dziedzinie stosunków osobistych jestem nawet zwolennikiem reformy językowej i zastąpienia słowa: "Pan" słowem: "Wy" dla języka potocznego, jak we francuskim. Uważam, że to zbliżyło by nas bardzo między sobą.

Teraz na obczyźnie mamy okazję lepszą niż kiedykolwiek, dla poznania charakteru i manier różnych narodowości. Mamy okazję wyciągnięcia pozytywnych wniosków dla naszego własnego zastosowania — jeżeli nie natychmiastowego, to w każdym razie — przyszłego, w szkolnictwie i wychowaniu nowych pokoleń w kraju.

Uważam, że w ogóle tak ważna dziedzina jak formowanie charakteru narodowego /raczej jego ulepszanie/ przez wychowanie, publicystykę i propagandę, jest u nas bardzo zaniedbana. A szkoda, bo mamy teraz świetną okazję ułożenia planów, któreby w przyszłości pomnożyły nasze niewątpliwe zalety — żywotność, pracowitość, obowiązkowość i polot, a usunęły wady. Jako naród jednolity szanujących się wzajemnie członków, mający poczucie zbiorowości i świadomość własnego stanowiska w świecie, moglibyśmy dokonać cudów konstruktywnej pracy w kraju i zagranicą.

Mam nadzieję, że ci, którzy spotkali się z tymi zagadnieniami wypowiedzą się w tej sprawie w duchu konstruktywnej dyskusji, choćby nawet inaczej myśleli. Może ja się mylę?

Mikołaj Weliński /Gibraltar/

LIST SZKOTKI

Redaktor "Polski Walczącej,"

Na pomoc Polaków w Szkocji /1941 r./ i w ostatnim czasie na pomoc Polaków w Rosji haftuję obrus z podpisami Pań i Panów, którzy mi dają pieniądze.

Chcąc mieć obrus bardziej interesujący, Pan Prezydent Raczkiewicz, X Biskup Gawlina, Pan generał Sikorski i siedem innych generałów polskich dało mi swoje podpisy i mam także podpisy Arcybiskupów Canterbury i York, Lady Montgomery, Mrs. Roosevelt, Premiera Churchill'a, pana Edena, Sir A. Sinclair'a, pana A. W. Alexander'a, Lord Leverhulme'a i Lord Nuffield'a.

Teraz chcę podziękować serdecznie dziewięciuset ludziom, którzy mi pomogli i powiedzieć im, że przy tej okazji została uzbierana suma £47. — Z tej sumy £19.10.0 — zostało przekazane na Pomoc Polakom w Szkocji /1941 r./ a reszta £27.10.0 — na Pomoc Polakom w Rosji. Jeszcze haftuję.

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękuję.

Miss Norah A. Starrs, 13, Castle Str., Broughty Ferry, Angus /Scotland/.

POŻYTECZNA KSIĄŻKA

Do Redakcji "Polska Walcząca,"

Ucząc języka polskiego w Wielkiej Brytanii, stawaliśmy często przed zagadnieniem dania swym uczniom do czytania takich wyjątków z literatury naszej, których język nie nasuwałby zbyt wielkich trudności. Chodziło o materiał, któryby łączył piękno naszego języka z jego praktycznym zastosowaniem. Wyszukanie samemu odpowiedniego materiału, wobec braku dostępnych pod ręką źródeł nasuwało ogromne trudności i powodowało dużą stratę czasu dla nauczającego. Dla tego z dużym zadowoleniem należy powitać ukazanie się doskonałego wydawnictwa Firmy Lund & Humphries w serii "Modern Language Reader," opracowanych przez B. Wysocką wypisów "Polish Reader."

Wypisy te, opracowane przy współudziale prof. Rose, chyba najlepszego znawcy języka polskiego z pośród Anglików, mają służyć jako czytanka dla Brytyjczyków, uczących się polskiego i jednocześnie mogą być z wielką korzyścią użyte przez Polaków, uczących się angielskiego, gdyż podają na końcu każdego ustępu, dokładne tłumaczenie na angielski polskich tekstów.

Książka ta należy do serii wydanej przez Lund & Humphries w różnych językach i pomyślanej jako jeden ze środków zbliżenia się między narodami.

Myślę, że "Polish Reader" nadaje się doskonale jako prezent dla naszych Brytyjskich przyjaciół, uczących się polskiego i w każdym razie winien znaleźć się w ręku żony, lub narzeczonej polskiego żołnierza.

S. W. Kłodowski

Poradnik żołnierski

P/Sgr. Chu. R.A.F. Station.

Wyjaśniamy:

1/ Rozkazem Naczelnego Wodza z 29.II.1940 ustalone zostały następujące warunki przyjmowania do szkół podchorążych:

a/ wiek prekluzyjny—38 lat z tym, że w braku miejsc w danej szkole pierwszeństwo mają kandydaci młodsi wiekiem,

b/ wykształcenie: ukończona szkoła średnia oraz wyjątkowo 6 klas gimnazjum starego typu, wzgl. 4 klasy szkoły średniej nowego typu,

c/ kandydaci — przed rozpoczęciem szkoły—muszą przejść dwumiesięczną praktykę liniową w oddziałach,

d/ ponadto:

—muszą posiadać obywatelstwo polskie,

—ich patriotyzm i lojalność państwowa nie mogą nasuwać żadnych wątpliwości.

—niekaralność za czyny niegodne z pojęciem godności i honoru oficerskiego,

—nieuleganie nałogom alkoholizmu i narkotyzmu,

—pełna sprawność fizyczna do służby frontowej.

Ukończenie szkoły i uzyskanie tytułu podchorążego jest wypełnieniem podstawowego warunku wymaganego do mianowania oficerem.

2/ Zgodnie z dekretem Prezydenta R.P. z dn. 12.III.1937 o służbie wojskowej oficerów — mianowanie oficerem na czas wojny może nastąpić na jeden ze stopni, niezależnie od stosunku do służby wojskowej.— Oficerów na czas wojny mianuje Naczelny Wódz.

3/ Podoficer zawodowy nie może być przemianowany na oficera rezerwy, jeśli nie ukończył szkoły podchorążych.

P.M. P/76 Polish Forces

1/ Zgodnie z dekretem Prezydenta R.P. z dn. 12.III.1937 o służbie wojskowej oficerów—osoby nie będące obywatelami Państwa Polskiego można wyjątkowo mianować oficerami o stopniach honorowych, bądź też przyjmować do służby w wojsku i marynarce wojennej w charakterze oficerów kontraktowych. Uzyskanie stopnia oficerskiego przez te osoby nie decyduje o nabyciu przez nie obywatelstwa polskiego.

Rozporządzenie Ministra Spraw Wojskowych do dekretu Prezydenta R.P. ustala, że oficerami kontraktowymi mogą być również obywatele państwa polskiego z tym, że:

—jako oficerowie kontraktowi mogą być przyjmowani również oficerowie stanu spoczynku, rezerwy, na czas wojny i w stopniach honorowych,

—oficerowie kontraktowi pełnią służbę na podstawie umowy zawartej w myśl obowiązujących w tej mierze przepisów, regulującej równocześnie sprawę uposażenia,

—oficerów kontraktowych można wyznaczać na stanowiska objęte składami osobowymi oficerów służby stałej, można też powierzać im funkcje po za składami osobowymi,

—nadanie oficerowi kontraktowemu wyższego stopnia może nastąpić jedynie na podstawie nowej umowy.

2/ Nie było dekretu Prezydenta R.P. dotyczącego przemianowania oficerów kontraktowych na oficerów służby stałej.

3/ List Pana nie zawiera szczegółowych danych, w jakim stosunku do służby wojskowej pozostawał Pan przed mianowaniem oficerem kontraktowym. Prosimy o ewentualne, dokładne informacje.

T.T. P/30 B.

1/ Przypuszczamy, że podróż Pana na statku, który został storpedowany, miała charakter służbowy. jeśli tak było, mamy wątpliwości co do uprawnień Pana do odszkodowania. Jeśli zaś odbywał Pan podróż jako osoba prywatna na własny koszt, pretensje swoje mógłby Pan skierować do właściwego towarzystwa okrętowego.

2/ W sprawie zaległego żołdu należy zwrócić się do swego przełożonego.

L.K. P/76 E. Polish Forces.

Występowanie podoficerów i szeregowców bez spinaczy—poza służbą regulują zarządzenia Dowódcy I. Korpusu.

T.T. Polish Forces P/92.

Przesyłka pieniędzy na Bliski Wschód może mieć miejsce tylko na podstawie specjalnych zezwoleń miarodajnych władz brytyjskich. Do informacyj uzyskanych przez Pana nie możemy nic dodać.

Sgt. Oy.—R.A.F.

Na zapytanie informujemy:

ad 1/ Szczegółowych wyjaśnień udzieli Inspektorat Lotnictwa, Wydział Intendentury.

ad 2/ Adresy pism polskich na Środkowym Wschodzie: "Kurier Polski" Bagdad, Akulia Str. "Orzeł Biały," Polish Forces, Paiforce 58. "W drodze," Jerusalem, Bezalel Str. House Valero.

W załączeniu przesyłam Postal Order na sh.10 /dziesięć/ za miesiąc maj i czerwiec b.r. stosownie do mego pisma z dnia 30.IV. jako stałe opodatkowanie na pomoc dla polskich dzieci w Rosji.

Cz. Wielgus

* * *

Zamiast prezentu na imieniny p. Julii Skarżyńskiej, na biedne polskie dzieci, rozsiane w tułaczce po świecie £5.0.0 składa.

M.B. mjr. pil.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,885

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam money order na kwotę £18. sh.9 i d.1 /funtów osiemnaście, szylingów dziewięć i d.1/, którą "Lwowska Fala" przesyła na pomoc dla dzieci polskich w Rosji — suma ta stanowi 50% dochodu uzyskanego z widowiska "Polish Panorama," zorganizowanego w m.p. Batalionu Szkockiego.

Oficer Oświatowy

* * *

Dear Sir,

I enclose herewith the sum of £18 sh.9 d.1, which represents 50% of proceeds of the show of the "Lwowska Fala" "Polish Panorama" organised by "Scottish Battalion." This amount is designed by the "Lwowska Fala" towards the fund for Polish Kids in Russia.

At the same time we would like to express our thanks to the people of . . . for their kind help.

Education Officer of the Scottish Battalion

N.N. 6d. na Polaków w Rosji.

* * *

Dear Sir,

I have pleasure in forwarding herewith cheque for £10.2.0, being contributions received by the Fife Branch of the Scottish Polish Society for the Polish Red Cross Children's Fund. The donations have been received from the following:—

Pupils of Beath Secondary School, Cowdenbeath, Fife, per Mr. J. E. Arkieson ...	£6.0.0
Pupils of East Wemyss Junior Secondary School, Fife, per Mr. T. G. Nicholson	£3.0.0
Sale of stamps, per Dr. R. A. Krause and Miss Christine Krause	£1.2.0
Total	£10.2.0

Yours faithfully,

Secretary and Treasurer.

* * *

Dear Sirs,

I have pleasure in enclosing cheque for £10.6.1, this being 50% of proceeds of dance organised by the 1st Coy. Polish Engineers in aid of Alva Burgh War Relief Fund.

Please accept our warmest thanks for your generous donation.

Yours faithfully,

Treasurer

* * *

P.T. "Redakcja "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £7 sh.13 d.10 złożone przez niektórych podoficerów i szeregowych Pułku Przeciwpancernego, na fundusz pomocy polskim dzieciom-sierotom, wyewakuowanym z Rosji.

J.L. rtm.
II Z-ca D-cy pułku

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £52.1.6 /słownie: pięćdziesiąt dwa funty, jeden szyling i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,885.14.3 /słownie: osiem tysięcy osiemset osiemdziesiąt pięć funtów, czternaście szylingów i trzy pensy/, 28 dolarów kanadyjskich, 5 i pół dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Prosimy o przekazanie na rzecz jeńców wojennych kwoty £1.7.0.

plut. St. R.
kap. W.W.

LIST BYŁEGO JEŃCA

P.T. Redakcja "Polski Walczącej,"

Po szczęśliwej ucieczce z niewoli niemieckiej śpieszę najgoręcej podziękować w imieniu pozostałych jeszcze kolegów i własnym — wszystkim osobom, które w jakikolwiek sposób niosły lub niosą pomoc polskim jeńcom wojennym. Pomoc ta nadsyłana w formie przesyłek kulturalnych, żywnościowych czy odzieżowych, miała dla nas zawsze nieocenione znaczenie, zwłaszcza dla wielu tych, którzy stracili kontakt z rodzinami, lub też te ostatnie będące w kraju nie są w stanie nieść im skutecznej pomocy.

Najwięcej wyczekiwane przesyłki żywnościowe i tytoniowe przychodziły do nas od Polonii zarówno z Wielkiej Brytanii jak Ameryki, Portugalii, Francji, Turcji, czy Szwajcarii. Oprócz konkretnej wartości odżywczej czy innej, zawsze wzbudzały one w nas z jednej strony wdzięczność a z drugiej dumę, że mimo rozłąki i tak wielkiego rozproszenia po świecie, wciąż nawzajem pamiętamy o sobie.

Ale zawsze też niestety przesyłek tych było nam mało, zwłaszcza ostatnio, gdy sytuacja żywnościowa na kontynencie stale się pogarsza a ucieczka z niewoli z reguły ma mało szans powodzenia.

Dziękując więc jeszcze raz wszystkim ofiarodawcom na rzecz jeńców naszych w Niemczech apeluję:

pamiętajcie o jeńcach polskich w Niemczech.

Wiktor Szańkowski

PRZESZKOLENIE W DZIEDZINIE OBSŁUGI SAMOCHODÓW

Wojskowy Instytut Techniczny zamierza zorganizować przeszkolenie Kadr przyszłych kierowników garaży i stacji obsług samochodów i traktorów. Program obejmować będzie konserwację i naprawę sprzętu, uwzględni również niezbędne wiadomości teoretyczne.

W zgłoszeniach kandydatów, które należy kierować do: W.I.T. *Kurs Garażowy*, Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1, należy podać:

1. Nazwisko, imię, datę urodzenia i dokładny adres.
2. Stosunek do służby wojskowej i stopień wojskowy.
3. Zawód cywilny i posiadane wykształcenie.
4. Odpowiedzi na pytania:

a/ Czy prowadzi pojazdy mechaniczne — motocykl, samochód osobowy, ciężarowy, traktor.

b/ Czy posiada prawo jazdy, obojętne jakie i kiedy wydane.

c/ Czy posiada i w jakim stopniu znajomość:

1/ Ślusarstwa /obróbka ręczna, spawanie, blacharstwo/

2/ Obróbki maszynowej

3/ Działania silnika i mechanizmów pojazdu

4/ Elektrotechniki samochodowej.

d/ Jakie posiada obecnie źródło utrzymania.

Od kandydatów nie są wymagane umiejętności wyżej podane, mają one jedynie na celu podział kandydatów na odpowiednie grupy szkolenia. Nie są stawiane zastrzeżenia odnośnie wieku kandydatów. Nauka będzie bezpłatna. Bliższe szczegóły podane będą po zebraniu zgłoszeń.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Szanowny Panie,

Załączone książki przeznaczam dla żołnierzy polskich na Średnim Wschodzie.

Z poważaniem

Z. Wygrzywalski

Załączonych 6 książek.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam 5 książek dla naszych żołnierzy na Bliskim Wschodzie.

Z poważaniem

Janusz F.

* * *

Bezimiennie: Adam Kowalski: "Kierunek: Wisła!"

P. St. Żurowski nadesłał: X. St. Bełch — Papiestwo i Polska. Zagrody i wspólnoty. Sir Ar. Hurd — Walka o morza.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

W załączeniu przesyłam dwie książki Arkadego Fiedlera: 1/ "Ryby śpiewają w Ukajali." 2/ "Kanada pachnąca żywicą," z prośbą o przekazanie żołnierzom polskim na Wschodzie.

Z poważaniem

Jadwiga Szczepocińska

* * *

kpt. Józef M. przysłał: "1000 słów po angielsku" 2 egz.

Bezimiennie: W. S. Churchil: Great Contemporaries. — F. S.: Między Marną i Loarą. — A. Fiedler: Kanada pachnąca żywicą.

* * *

Proszę przyjąć dla Polaków w Afryce: Basic English for Polish Students. — English by MacCallum. Method for teaching modern language by Berlitz /book first and second/. Złota chorągiew. — E. Ligockiego.

J.B.

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 1364 książek.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Racja—przyznał król-wariat
Kładąc rękę na sercu—

Wobec tego będziemy
Bawić się w ludożerców.

Co wam jeszcze—rzekł Pompka—
Przyjdzie dzisiaj do głowy?

W tej to chwili, na szczęście,
Przybył kapral służbowy.

Po powrocie do koszar
Waluś przysiągł dwa razy

Izby chorych unikać
Jak przeklętej zarazy.



Po rozmowie z p. szefem,
Bardzo przykrej i długiej,

Służbę Pompka rozpoczął
Dziesięć minut po drugiej.

Nie minęła na warcie
Walusiowi godzinka,

Gdy nadeszła zalotnie
Zgrabna, młoda murzynka.

Ach, dear Pompka, krzyknęła,
Nie bądź taki zdziwiony,

Jestem siostrą rodzoną
Afrykańskiej twej żony . . . !

SPIS RZECZY:

Pan Czesław JEŚMIAN ma w redakcji list do odebrania.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.